Nr. 14 Lwów, Niedziela dnia 2. Grudnia 1877 r. Tom VI.



ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni T. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 4 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

Szkoła politechniczna.

Otwarcie szkoły politechnicznej d. 15. zeszłego miesiąca jest faktem, który w dziejach rozwoju nauk w Polsce zajmować będzie jedno z miejsc najpierwszych.

Dotychczasowa Akademia została wyniesioną do rzędu szkół najwyższych, równouprawniono ją z Uniwersytetami i wprowadzono uroczyście do nowego wspaniałego gmachu, jednego z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek w Polsce wystawiono.

Po raz pierwszy na ziemi, na której dźwięczy rodzinna nasza mowa, utworzoną została instytucya, mająca na celu szerzenie najwyższego wykształcenia w kierunku technicznym i danie możności naszej młodzieży zdobywania w kraju tego, czego dotąd zmuszoną była szukać w obcych krajach i przy pomocy obcego języka.

To też uroczystość otwarcia w dniu 15 bm. była świętem dla naszego miasta i wszyscy tłumnie spieszyli do przepysznej auli w nowym gmachu, aby być przytomnymi przy otwarciu szkoły i oddaniu jej przez władze w ręce grona nauczycielskiego.

Z pomiędzy mów wygłoszonych zasługuje na szczególną uwagę mowa ustępującego rektora prof. Freunda, w której wyłożył historyę dotychczasową zakładów technicznych we Lwowie i z której pozwolimy sobie korzystać na tem miejscu.

Szanowny rektor, rzuciwszy w kilku słowach zarys historyi wykształcenia technicznego w ogóle, przeszedł do historyi takich zakładów w naszym grodzie i ich rozwoju aż do chwili dzisiejszej.

Pierwszym zakładem, mającym na celu praktyczne ukształcenie, była realna szkoła handlowa, założona we Lwowie w roku 1816, na wzór szkoły tego rodzaju istniejącej w Wiedniu od roku 1767. Kurs był trzyletni, a oprócz przedmiotów potrzebnych do ogólnego wykształcenia, wykładano tam niektóre nauki techniczne i kupieckie. Szkoła ta miała zadanie przygotowywać młodzież do dalszej pracy w kierunku handlowym i przemysłowym.

Szkoła ta była jednak nielicznie uczęszczaną i nie miała wielkiego wpływu na rozwój handlu i przemysłu w naszym kraju. Więc też wkrótce uznano tego rodzaju zlanie kierunku handlowego z technicznym za niepożyteczne; zreorganizowano ją i oddzielono kurs techniczny od kursu handlowego. Nadano przytem tej szkole tytuł „Realna i handlowa Akademia.“ Jednak i ta reorganizacya mało przyniosła pożytku, gdyż cała nauka techniczna ograniczała się w szkole prawie wyłącznie na rysunkach, a słuchacze, którzy ukończyli Akademię, mieli prawo uczęszczania w Uniwersytecie na przedmioty, mające z techniką związek, mianowicie na matematykę, geodezyą, mechanikę, budownictwo i rolnictwo. Jednak dawało to możność tylko teoretycznego wykształcenia, niewystarczającego do przejścia bezpośredniego ze szkoły do życia praktycznego.

Odzywano się wtedy z kraju niejednokrotnie o założenie instytucyi, któraby dawała możność ukształcenia specyalnego dla młodzieży i w ten sposób przyczyniła się do podniesienia przemysłu krajowego. Tym głosom uczyniono częściowo zadość w r. 1844. Zmieniono Akademię realną i handlową na „Akademię techniczną“ i dnia 4go listopada tegoż roku rozpoczęły się tam wykłady. Ten nowy zakład miał trzy oddziały: 1° dwuklasową szkołę realną tj. oddział techniczny dawniejszej Akademii, 2° właściwy oddział techniczny, w skład którego weszły oddzielone od Uniwersytetu katedry geodezyi i budownictwa, oraz katedry fizyki, chemii, wyższej matematyki, wykreślnej geometryi i mechaniki i 3° oddział specyalnie handlowy.

W tym stanie, który już był znacznym postępem, trwał zakład aż do roku 1856, w którym wydzielono zeń szkołę realną i utworzono z niej osobną „Wyższą szkołę realną.“ Akademia techniczna, która dotąd miała słuchaczy z rozmaitego stopnia przygotowaniem naukowem, stała się od tej pory zakładem wyższym, przyjmującym słuchaczy po ukończeniu szkoły średniej, i przygotowującym do praktyki inżynierów, budowniczych, technologów, a oprócz tego i kupców. Wprawdzie pierwsze trzy gałęzie były zjednoczone, więc nie było takiej specyalizacyi, która jest obecnie wszędzie wymaganą, lecz szkoła oddawała już wielkie usługi krajowi i z niej wyszli mężowie, którzy na różnych polach działalności technicznej zdobyli sobie zaszczytne i głośne stanowisko, i z których w wielkiej części składa się grono profesorów dzisiejszej szkoły politechnicznej.

Z powodu wzmagającego się przemysłu i potężnie rozwijających się nauk technicznych na zachodzie, zwracać zaczęto szczególną uwagę na szkoły techniczne i przekonano się o wielu niedostatkach, które ich rozwój hamowały. Zwrócono też uwagę i na nasze Akademię i zażądano od grona profesorów projektów reorganizacyi. Według projektu, w myśl tego żądania opracowanego Akademia miała się podzielić na 5 następujących wydziałów: 1° Budownictwa i inżynieryi, 2° Mechaniki, 3° Chemii technicznej, 4° Leśnictwa i rolnictwa, 5° Kupiectwa Ten projekt został przedłożony przez władze rządowe sejmowi do potwierdzenia. Sejm jednak zmienił wniosek rządowy, a rząd nie przychylił się do zmian proponowanych, więc Akademia pozostała na dawnem stanowisku i stała się tu anomalia, że gdy inne szkoły w monarchii austryackiej rozwijały się według nowych dróg i zasad, lwowska szła jeszcze dawnemi tory. Jednak reorganizacya była już tylko dziełem czasu i nie kazała długo czekać na siebie. Katedry zaczęły się powoli specyalizować, oddzielono budowę dróg i budowy wodne od budownictwa lądowego i utworzono nowe katedry dla inżynieryi i technologii chemicznej.

Nareszcie w r. 1871 nastała ważna dla szkoły i dla kraju chwila. Nasz język rodzinny został zaprowadzony do wykładów w szkołach galicyjskich, a więc i w Akademii musiał usunąć język obcy. Od tej chwili szkoła zaczęła już szybko dążyć do ostatecznego ukształtowania się. Zaprowadzono trzy szkoły fachowe: inżynieryi,

budownictwa i chemii, i oddano ich zarząd grona profesorów, na czele którego stanął rektor wybieralny. Od wstępujących wymagano świadectwa dojrzałości, i Akademia stanęła w ten sposób na równi z zakładami w Bernie, Pradze i Gracu.

Przybywały co rok nowe katedry, a nareszcie na wniosek kolegium profesorów otworzono wydział poświęcony specyalnie budowie machin. Od początku reorganizacyi, tj. od roku 1870, pierwotną ilość katedr, tj. 5 powiększono o 10 nowych tak, że obecnie jest ich 15 systemizowanych.

Rozpoczęte dzieło reorganizacyi zostało uwieńczone wzniesieniem odpowiedniego gmachu. Już około 1840 uznał rząd potrzebę wzniesienia gmachu na pomieszczenie szkoły. Dotąd jeszcze są zachowane plany architektów z tego czasu. Lecz dopiero w ostatnich latach postanowił rząd wyznaczyć na ten cel pieniądze i polecono wypracować nowy projekt, odpowiadający wszelkim wymaganiom nauki i sztuki, profesorowi Julianowi Zachariewiczowi, obecnie pierwszemu rektorowi Szkoły Politechnicznej.

O ile projekt ten jest odpowiednim, mogli się czytelnicy przekonać naocznie. Pracą tą staje prof. Zachariewicz w rzędzie najpierwszych architektów i budynek ten wiecznie przypominać będzie młodzieży pracującej swego twórcę.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zaranek odszedł do swego pokoju, zostawiwszy go samym. Eugeniusz podparty siadł w ganku i po odjeździe Jaksy pozostał, rozpatrując się w samotnym zamku, jakby mu coś dolegało, jakby potrzebował w sobie skupić ducha i myśli. Dotąd mało roztrząsał życie własne i jego obowiązki, była to może pierwsza chwila, w której czuł potrzebę wejścia w siebie, chociaż nic go na pozór do tego nie zmuszało Tęskno mu było na duszy, jakby przeczuciem jakiegoś niewidomego niebezpieczeństwa. Cicha noc spowiła cały ów dworzec, przywykły do spokoju i milczenia, jeszcze uroczystszą ciszą nadchodzącej snu godziny. Nie słychać było nic, oprócz niepochwyconego prawie szmeru drzew w ogrodzie i przytłumionego klekotu dalekiego młyna wodnego. Niekiedy powiew jakiś niespodziany przelatywał poruszając gałęzie, zaszumiał w głębinach korytarzów zamkowych i znowu następowało po nim uroczyste milczenie. Na zamku, jak dawniej za życia pana Spytka, wszystko miało wyznaczone godziny; sen i ruch przychodziły na zawołanie zegaru, który królował i rządził ludźmi. Światła po oknach gasły z kolei, znikali słudzy, wyludniało się wszystko, zamykały podwoje i w końcu jedno tylko okienko kaplicy, w której zawsze płonęła lampa słabem światełkiem, śród czarnego połyskiwało gmachu. Eugeniusz doczekał się tego stąpania po korytarzach, które zwiastowało zamykanie drzwi i ostatni kres życia i ruchu. Burgrabią był od niepamiętnych czasów zgrzybiały, od kilku pokoleń sprawujący swe obowiązki Siemion, który już ledwie się wlókł, ale kluczów nikomu powierzyć nie chciał póki życia. Mało kto go we dnie widywał. Z brzaskiem, otworzywszy podwoje, chował się do swojej izdebki w suterenach i nie wychodził z niej aż nocą, gdy zamek potrzeba było obwarować kluczami, których pęk dźwigał u pasa. Ludzie miejscowi poznawali go po chodzie posuwistym i po brzęku tych kluczów nieodstępnych. Rankiem i nocą wychodził z półgłośną na ustach modlitwą, którą opatrując kąty i zatrzaskując wrzeciądze odmawiał... Rzadko bardzo odzywał się do kogo, nie cierpiał sprzeciwiania się, mruczał niewyraźnie, a życie zdawało się go bardzo nie wiele obchodzić. Siemion nie miał rodziny, żył samotny, a większą część dnia spędzał na modlitwach. Wolne chwile przesiadywał w kaplicy zamkowej, często sam jeden, dozorując niewygasającej lampy i odmawiając różaniec. Ojciec jego, dziad i pradziad byli na usługach Spytków, zrośli się więc z pańską rodziną, którą prawie uważali za swoję. Siemion nie mówił inaczej o Mielsztyńcach, tylko: nasz majątek, o rodzinie jak o własnej, o dziecku jak o swojem.

Od śmierci starego Spytka, uważano ciężkie na nim pognębienie, u trumny nieboszczyka leżał płacząc, a po pogrzebie jego prawie oniemiał, słowa się z niego dopytać nie było podobna... Na Eugeniusza z daleka patrząc, płakiwał.

Młody chłopak jeszcze siedział na ganku, gdy po wybiciu godziny zwiastującej zamknięcie zamku, chód starego Siemiona dał się słyszeć na korytarzu. Wedle swojego zwyczaju, burgrabia obchodził galerye, ganki, wschody, opatrując czy wszystko było w porządku, czy nikt nie pozostał opóźniony za domem. Eugenek nie postrzegł się, gdy go staruszek pochwycił siedzącego i pogrążonego w myślach. Zdala Siemion nie mógł go poznać o zmroku, zbliżył się więc, a zobaczywszy panicza, zdziwiony stanął naprzeciwko niego, z założonemi rękami. Chłopak podniósł głowę.

— Mój miły Boże — ozwał się starzec półgłosem, tobież to, mój złoty paniczu, myśleć już i rozpamiętywać jak starcowi? Tobie, cobyś powinien tylko śmiać się i weselić?... Ale, prawda! zostałeś się ty sierotą... a sieroty dojrzewają prędko.

I szepcąc tak z uczuciem, zbliżył się do chłopaka, aby jego rękę ucałować. Eugenek dopiero się ocknął i poznał staruszka, którego dawniej rzadko kiedy widywał.

— A no, paniczu mój złoty — rzekł burgrabia — możeby wam czas iść i spocząć? Cóż wy tu tak po nocy dumacie? Chłód i smutek... nie nakarmi to duszy, a ot ja już muszę i zamek zaryglować. Chłopak wstał milczący, zawahał się nieco i cicho odezwał się:

— Zamykajcie, ale ja z wami pójdę, potrzeba mi się z wami rozmówić.

— Ze mną? — spytał zdziwiony staruszek — ze mną?

— Chodź! — krótko odparł Eugenek — zamykaj i chodź.

Niespokojny Siemion musiał być posłusznym. Pospiesznie drzwi za sobą zamykając, poprowadził panicza po wschodach do suchych suterenów od ogrodu, w których mieszkał. Izdebka, do której schodziło się po kilku kamiennych stopniach, mimo że napół w ziemi i sklepiona, była dosyć schludna i wesoła. Za nią druga, mniejsza, zawierała sypialnię staruszka. W pierwszej stolik, ławy, kufer, klucze na kołkach rozwieszone, krucyfiks i obrazy świętych z kropielnicą przybitą u drzwi, całym były sprzętem.

Eugeniusz nie przypomniał sobie, czy tu był kiedy. Ubogie to pomieszkanie obudzało jego ciekawość; Siemion wyglądał tu ze swą pobożnością na prawdziwego zakonnika. Wszedłszy dość odważnie i z mocnem jakiemś postanowieniem do starca, w chwili gdy miał usta otworzyć, chłopak się zająknął, zarumienił, i widocznie był zmięszany. Pierwszy to był prawie czyn jego w życiu, podjęty na własną odpowiedzialność, nie dziw więc, że przy spełnieniu jego trochę odwagi zabrakło. Starzec patrzył na niego długo, uważnie, z rodzajem rozczulenia; zdawał się w tej twarzy badać przyszłość rodziny, którą Eugeniusz w sobie nosił, ale zarazem czekał ciekawy, co tu młodego chłopca sprowadzić mogło.

— Mój Siemionie — odezwał się wreszcie siadając na ławie Eugenek... — ja tu jestem w rodzicielskiem gnieździe, jak obcy. Wiesz jak mnie wychowano. Rzadko i krótko dzieckiem bywałem w Mielsztyńcach; ojca o nic pytać nie śmiałem: matka nadto jest smutną i przybitą, ażebym mógł ją badać; a przecieżbym wiedzieć coś powinien o tej przeszłości, która jest dla mnie tajemnicą. Wszystko, co mnie otacza, budzi ciekawość, nie zaspokajając jej. Roją się myśli dziwne, drażni mnie to. Ty, mój dobry staruszku, mógłbyś mi wiele wyjaśnić, wiele mnie nauczyć... Chciałem — dodał — prosić cię, żebyś mi wytłumaczył to, na co ja patrzę, a czego zrozumieć nie umiem.

Siemion, wysłuchawszy go, spuścił głowę smutnie; widocznie walczył z sobą.

— Cóż ja wiem? — rzekł — plotki, które po cichu pokolenie pokoleniu podawało, a w ustach ludzkich prawda nawet, przechodząc przez nie, nabiera coraz odmiennych kształtów i trudno się jej dobadać, gdy postarzała niespisaną Zresztą, mój dobry panie, czy ci potrzeba zawczasu już wiedzieć wszystko, trapić się i obawiać? Nakoniec, nakoniec ja się lękam... a gdybym chciał, nie potrafię w starej głowie znaleść tego, co w nią włożyłem za młodu.

— Mój drogi — przerwał Eugenek — ty mi musisz powiedzieć, co wiesz... to mi zrobi ulgę. Jam już nie dziecko, znieść potrafię, co boli i odróżnić fałsz od prawdy; może wyglądam młodo, ale i mnie sieroctwo i samotność uczyniły przed czasem człowiekiem.

— Cóż ja wam powiem?.. — przebąknął stary — i czy to pora po temu? Pytaj mnie, jeśli chcesz, ja ci nic nie zataję. Ale godzina późna, spostrzegą, że was nie ma, będzie niepokój w zamku... a pan Zaranek...

— Pan Zaranek nic mi nie zrobi, — rzekł Eugeniusz — jest moim towarzyszem, nic więcej; praw nademną nie ma żadnych, a rad jest, gdy swobodną chwyci godzinę, by się w swych książkach zatopić... Nie oba-

wiaj się o niego, nie lękaj o matkę, ona się o mnie dziś nie spyta.

Siemion zamilkł, ale westchnął.

— Cóżbyście wiedzieć chcieli? — zapytał.

— Wszystko, bo nie wiem nic — żywo począł chłopiec. — Znam z imion moich pradziadów i babki, których wizerunki wiszą na zamku. Z twarzy tych zbladłych, wiekami poczerniałych, niemych, czytam i odgaduję tajemnice... Nie wiem nic. Co znaczą te dwa katafalki? co ta śliczna kobieta, z krwawą na szyi pręgą? co trupia głowa w szyszaku?..

Siemion głęboko się zdawał namyślać; ciężko mu było dobyć z piersi głosu.

— Ja o tem wszystkiem wiem niewiele, to tylko, co rodzice z sobą przynieśli i o czem wieczorami słyszałem ich gwarzących czasem; ale prawda to, czy baśnie?.. Prędzej że ludzie, patrząc na dziwne wizerunki stare i nagromadzone pamiątki, sami sobie do nich to tłumaczenie dopletli. Wierzże mi, drogi mój panie, że lepiej ci jeszcze i długo o tem nie wiedzieć, a gdy przyjdzie godzina, aby się odkryła prawda, Pan Bóg ci ją zeszle przez usta matki Uspokójcie się. Po kazdym domu niemal lata, jak nietoperz, jakas bajka czarna, której nie widać we dnie. Każda rodzina ma swe tradycye, ale nie we wszystko wierzyć potrzeba i godzi się. O tych portretach starych nic bym was nie nauczył; wiem mało i źle, więc nie chcę was niepokoić. Powiem jedno tylko, co mi się zdaje być prawdą niewątpliwą. Wprzód nim się Spytkowie z Krakowskiego tutaj przenieśli, od bardzo dawnych a dawnych lat, pomiędzy nimi a Jaksami była nieprzyjaźń zawzięta. Zkąd poszła, tego nikt nie wie. Prześladowano się, nękano, najeżdżano wzajemnie i krew nieraz się polała. Jeszcze w Krakowskiem naddziad wasz pomścił się na jednym z Jaksów za jakąś krzywdę... Ująwszy go i osądziwszy sam, dał ściąć katowi w więzieniu. Mówią, że głowa tego Jaksy, zamknięta w szyszaku, zachowuje się na pamiątkę tej zemsty... Później Bóg ciężko za tę śmierć dotknął rodzinę waszę, zaczęła się pokuta. Spytkowie opuścili swoje gniazdo, ścigani zgryzotą i pomstą Jaksów, którzy, umyślnie goniąc za nimi, usadowili się pod ich bokiem w Rabsztyńcach. Ale wyroki Boże są niedoścignione, Jaksowie pomścić nie mogli i ród ich wyginął do ostatniego... Tym ostatnim jest ów, którego dziś tu widzieliście na zamku... którego wy podobno, dobry panie, zaprosiliście tu po raz pierwszy sami.

— Tak jest, ja! ja! — krzyknął Eugenek, porywając się z ławy. — Cóżem zrobił! Widzisz stary, jak niewiadomością zgrzeszyć można. Ale dziś poczułem do niego odrazę, niechęć, wstręt jakiś, i noga tu już jego nie postanie. Sądzę, że nawet matka moja niespełna wiedzieć o tem musi, chociaż opierała się w początku, naganiła mnie; ale teraz, teraz jest dla niego łaskawszą.

To mówiąc, przechadzał się niespokojnie po podziemiu; stary westchnął.

— Jedno wam jeszcze dodać muszę — szepnął cicho. — Kasztelanic Jaksa, na którego my tu, choć z daleka, od młodych lat jego patrzymy, niedobrym jest człowiekiem; nie ma wiary, żyje jak dziki, szaleje często, pomiata ludźmi i sobą. Obawiają się go wszyscy, nie ma przyjaciela, nie starał się otoczyć rodziną, jest postrachem i podziwem..

— Sądzicie, że on wie o tem co między rodzinami naszemi zachodziło? że zachował nienawiść spadkową? że z nią tu przybył? — spytał Eugeniusz patrząc na Siemiona.

— Jakżeby o tem mógł nie wiedzieć? — rzekł stary. Dla niego to może jedyny cel życia, bo mu tylko nienawiść i zazdrość zostały na pokarm ostatni.

— I śmiał przybyć tu z kłamstwem na ustach?

— Gorzej, bo ze zdradą w sercu — dodał Siemion; — potrzeba się go strzedz, należy unikać. Jestto człowiek tem niebezpieczniejszy, że wszystkie pozory przybrać potrafi, że skłamie serdeczność, że będzie się śmiał, gdy wewnątrz gniew w nim zgrzyta, że zdolny jest do wszelkiego złego.

— Dziękuję ci za przestrogę... — po chwili rzekł Eugeniusz, trąc czoło. — Widzisz więc, żem się pożytecznej rzeczy do wiedział Matka zrazu miała słuszność a ja byłem niebaczny. Dziś dopiero ostrzegło mnie przeczucie, albo raczej kilka słów boleśnych, któremi mnie zranił ten człowiek.

Młody chłopak zamilkł... Siemion zbliżył się do niego, pochwycił za rękę i począł ją całować.

— Dosyć już tego — odezwał się cicho. — Nie badaj mnie, bo zaniepokoisz sam siebie. Zawcześnie zawsze dowiesz się swych obowiązków i weźmiesz spadek po ojcach. Bądź paniczu cierpliwym, a jeśli potrzeba dla uniknięcia niebezpiecznego sąsiada oddalić się z Mielsztyniec, proś matki, niech wyjedzie. Zanadto już siedzieliście w tym zakącie, w tej pustce; trzeba i należy się Spytkom iść między ludzi. Niechaj was inne, zdrowsze może niż tutejsze powietrze owieje i ożywi.

Eugenek zamyślony, uścisnął rękę staruszka.

— Słuchajże, mój dobry Siemionie — odezwał się — gdybyś czego odemnie potrzebował, jabym ci serdecznie rad usłużyć...

— O! mój Boże, paniczyku złoty, a cóż mnie staremu potrzebnem być może, oprócz tego cichego kąta na ostatnie lata? Klucze mi nie ciężą, przywykłem do nich, tęskno by mi było za niemi, gdyby je innemu dano; mam wszystko. Niech wam Bóg błogosławi! Czekajcie — dodał do wyrywającego się — poświecę, po korytarzach noc, nie trafilibyście do siebie.

Wziął stary latarkę i suwając nogami, poprzedzał żywo idącego panicza na drugie skrzydło zamkowe. Musieli przechodzić długie galerye, wschody, sale, nim się zbliżyli do mieszkania, które Zaranek i Eugeniusz zajmowali. Noc już była późna; księżyc gdzieniegdzie wpadając oknem, bladem światłem migotał na posadzkach i czepiał się po ścianach. W głębiach tylko panowała ta nieprzejrzysta ciemność murów, o którą oko, jak o żelazny wał się rozbija. Szli wolno, mimo pospiechu Eugenka, bo Siemion prędzej nadążyć nie mógł. Dla skrócenia drogi, burgrabia, który znał zamek dosdonale, otworzył drzwi wielkiej sali zwanej biblioteką, do której od bardzo dawna nikt nie wchodził, bo klucze od niej były u burgrabiego. Niegdyś cała pełna ksiąg, nie wiadomo kiedy i przez kogo ogołoconą z nich została w znacznej części; górne pułki były puste, niżej tylko widać było grzbiety foliałów opylonych. W pośrodku stał ciężki stół staroświecki, rzeźbiony, wsparty na czterech karyatydach. Na niem, może przed stu laty położone, nietknięte spoczywały grube księgi, klamrami mosiężnemi pospinane. Przez troje okien od ogrodu księżyc wchodził do sali i część jej znaczną oświecał. W chwili gdy zamek się otworzył i drzwi się uchyliły, Eugeniusz, który nie znał biblioteki i widzieć jej nigdy ciekawym nie był, rzucił w nią okiem i krzyknął. Siemion z przestrachem odwrócił się ku niemu i spostrzegł go palcem wskazującego na stół. . Staruszek spojrzał na salę, ale prócz dziwacznie załamanego promienia księżyca, który oświecał stare krzesło i część stołu nie zobaczył nic. Eugeniusz jak skamieniały, stał w progu.

— Co się wam stało? paniczu, na miłego Boga! — zapytał burgrabia.

— Jakto! nic nie widzieliście? nie?

— Nic nadzwyczajnego, a wy? wy paniczu?

— A ja...— Eugenek zawahał się i żywo odpowiedział: — musiało mi się wydać, jestem rozgorączkowany. To było światło księżyca.

— A cóż się wam zdało?... — niespokojnie, stojąc ciągle w progu, mówił Siemion. — Cóż to było? na miłego Boga!

— Nic, nic — śmiejąc się dodał chłopak. — Dajcie mi klucz od biblioteki, jutro po dniu muszę ją zobaczyć.

Burgrabia się zawahał, pomyślał, ale panicz naglił; weszli więc i drzwi zaryglowawszy, stary oddał klucz Eugeniuszowi, który go chciwie schował do kieszeni.

— Gdybym nie był pewnym — rzekł postępując zwolna ku środkowi — że co mówią o duchach i zjawiskach jest przesądem i słabych umysłów halucynacyą, tobym sądził, że istotnie wchodząc tu widziałem kobietę, siedzącą u stołu nad księgą...

— Kobietę — powtórzył Siemion — a jakże ona wyglądała?

— Była podobną do portretu babci Emilii, tej, która ma krwawą pręgę na szyi — rzekł Eugeniusz...

Na te słowa stary burgrabia zaczął drzeć widocznie, spuścił głowę i co żywiej ku drugim drzwiom do wyjścia skierował; ale Eugeniusz, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, ciekawie rozpatrywał się po bibliotece, poszedł do krzesła, na którem zdało mu się, że widział owę postać i chwycił książkę najbliżej leżącą.

Księga była gruba dosyć, oprawna w skórę białą, z klamrami srebrnemi. Rzuciwszy w nią okiem, przekonał się, że nie była drukowaną, ale pisaną. Na pierwszej karcie błyszczały herby Spytków, wymalowane na tarczy obwiedzionej dziwnemi ozdobami. Do podtrzymania godła rodziny służyli z jednej strony rycerz w hełmie otwartym, z którego wyglądała trupia głowa; z drugiej lew, rozdzierający gryfa. Przyszło na myśl Spytkowi, że gryf był Jaksów oznaką. Wziął rękopis ze stołu i korzystając z pomieszania s arca, który nic się nie zdawał widzieć i na nic już nie uważać, pospieszył z biblioteki. Milcząc przeszli jeszcze korytarz

i wschody, a blisko już będąc mieszkania, Eugeniusz pożegnał staruszka, z którego się teraz słowa dopytać nie było można.

W pokoju nie zastał Zaranka, czekał nań tylko sługa, który zwykle sypiał w przed pokoju. Eugeniusz rozebrał się prędko, odprawił go i z gorączkową ciekawością chwycił przyniesioną z sobą księgę. Miał jakieś przeczucie, że w niej znajdzie wytłumaczenie wielu dlań mgłą pokrytych rzeczy, tyczących się rodziny. Tytuł i pierwsze karty przekonały go, że się nie mylił; księga była wszakże zbiorem suchych heraldycznych wyciągów i wiadomości, wpisywanych różnemi charakterami i w różnych, jak się zdawało epokach.

Młody człowiek mało umiał po łacinie, bo już naówczas wychowywanie za granicą nie opierało się jak przedtem całe na klasykach; rozumiał jednak tyle, ile było po trzeba, by chciwą zaspokoić ciekawość. Genealogią odrzucił, szedł dalej... wiele kart zostawało niezapisanych. Ku końcowi kilkanaście ktoś po rogach przewlókł sznurkiem jedwabnym i opieczętował... Roztworzyć ich nie było podobna, nie naruszając pieczęci, która się zachowała cało. Sznur był wyblakły i zmięty, wycisk na wosku wyobrażał herby Spytków. Ta tajemnica zniecierpliwiła go nieco; nie śmiał złamać pieczęci, wahając się czy do tego miał prawo i usunął rękopis zamyślony, odkładając czytanie do jutra. Schował go jednak, jak drogą zdobycz do szafy, od której miał klucze. Chciał już zasnąć i spocząć, bo mu głowę rozsadzały myśli i marzenia, które raz pierwszy przyszły ją tak tłumnie nawiedzieć, ale oka zmrużyć nie mógł, mimowolnie stawało mu przed oczyma zjawisko w bibliotece, w które nie wierzył, a wspomnienia jego pozbyć się nie umiał. Śmiał się sam z siebie i postanowił nikomu o tem nie mówić, aby się drudzy z niego nie śmieli. Była to widocznie postać, stworzona w rozgorączkowanej wyobraźni, nic więcej; światło księżyca służyło jej za wątek, z którego to widmo zlepiła. Nie widział go przecież Siemion...

Tak rozmyślając, nadedniem dopiero, gdy księżycowe światło poczęło ustępować rannemu brzaskowi, młody chłopak zdrzemnął się znużony; ale we snach widział, jakby dalszy ciąg wieczornych zjawisk... owe postacie starych portretów, które nad łóżkiem jego stojąc, cicho się naradzać zdawały. Na przodzie, z kwiatkiem w ręku i uśmiechem na ustach, stała babcia Emilia, z krwawą na szyi przepaską. (C. d. n.)

HOŁD STEFANA CHROBREGO.

(wojewody wołoskiego królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi w Kołomyi złożony r. 1485.)

napisał

FRYDERYK PAPÉE.

Przez cały ciąg XV. wieku, aż do owej nieszczęsnej króla Olbrachta wyprawy bukowińskiej (1497 r.), była Mołdawia lenną prowincyą Polski. Bez żadnego trudu, bez żadnych zabiegów nawet, przypadła ona szczęśliwym Jagiellonom w udziale tą samą drogą, jaką ich doszła korona Piastów, jaką szerokie i żyzne Podola i Wołynia obszary do ich dziedzictwa spłynęły, drogą sukcesyi po dzielnym, lecz mniej szczęśliwym rodzie Andegaweńskim. Węgrzy swą krwią, trudem swego wielkiego Ludwika dobili się (r. 1354) ziem ruskich i mołdawskiej dzielnicy, a w 33 lat potem zebrała owoce ich znoju biała rączka, w której jakby tylko dla igraszki błyszczał oręż wojenny — dla innego rodu i dla innego ludu. Dziwnaż bo to była ta królowej Jadwigi na Ruś wyprawa — prawdziwa zabawka, nie wojna. Dzieje nie przechowały nam żadnego choćby wspomnienia o jakiej walce w tej „wyprawie“ — jakby ulegając kaprysom pięknej królowej otworem stały jej miasta i grody tej mlekiem i miodem płynącej ruskiej krainy; tak, żewkilka tygodni po wkroczeniu do niej przecho dziła już z tryumfem dobrowolnie na jej przyjęcie otwarte bramy stolicy (w początku marca 1387). Tylko w Haliczu krótki stawił opór tamtejszy starosta węgierski Benedykt; a po poddaniu się jego nietylko cała Ruś czerwona i część Wołynia — zdobycz niegdyś Kazimierza W., ale i dalsza część wołyńskiej i cała podolska ziemia, które niegdyś król Ludwik był zawojował, leżały u stóp jego córy, polskiej królowej, Jagiełłowej żony. Wtenczasto i Piotr, wojewoda wołoski, niczem innem — przynajmniej nie mamy tu żadnych innych wskazówek — nie spowodowany, jak tylko przejściem graniczących z nim ziem ruskich pod inne berło, stawił się we Lwowie i dnia 27 września tegoż r. uderzył czołem przed *węgierską* i polską królową Jadwigą i mężem jej królem polskim Władysławem. [1])

Takimto łatwym sposobem dostąpiła Polska władzy nad Mołdawią. I przez cały też czas panowania nad tą prowincyą nie miała z nią wiele korowodów. Pamięć dziejowa przechowała nam niezliczoną ilość hołdów wołoskich z tych czasów, jako świadectwo gotowości z jaką hospodarowie nietylko przy każdej zmianie tronu, ale przy każdej ważniejszej okoliczności, na każde niemal zawołanie królewskie wierność swą i poddaństwo stwierdzać pospieszali. Rzadko zaś, i to zwykle tylko dla przeparcia jednego współzawodnika przeciw drugiemu, potrzeba było aż chwytać za oręż, by utrzymać nadal raz ugruntowany stosunek. Wykonywała zaś te orężne egzekucye, bywało nawet owszem dość niefortunnie — że wspomnę tu ową najbardziej znaną wyprawę, w której zginął dzielny starosta lwowski I. Odrowąż — szlachta okolicznych ziem ruskich. Ale, jak wspomniano, były to wypadki wyjątkowe, te wyprawy, a te klęski jeszcze bardziej wyjątkowe. Tem rzadziej zaś nadarzała się potrzeba i wykonywał się obowiązek obrony lennika od jego nieprzyjaciół. Bo z wewnętrznymi swymi przeciwnikami lub niespokojnymi sąsiadami, władcami Bessarabii i t. p. mógł się wreszcie sam wyczubić, jeśli mu spokój nie był miły, a siły jego nie były właśnie potrzebne na użytek państwa, i trzeba więc było tylko dwóch przeciwników jego mieć na uwadze, t. j. Węgrów, a później Turków. Ale i tu rzadko tylko przychodziło do pomocy orężnej, a zwykle załatwiały się sprawy drogą dyplomatyczną. Złożyły się na to szczęśliwe okoliczności, a mianowicie ta, że główny teraźniejszy przeciwnik — bo Turcy dopiero po r. 1470 wchodzą w rachubę — główny mówię przeciwnik: Węgrzy, byli aż do wstąpienia na tron króla Macieja Korwina do energicznego działania za słabi. Zygmunt Lexemburczyk mataczył, intrygował, ale orężnie nie dopomniał się o zabrane ziemie ruskie i o Mołdawią. Owszem zawarł nawet r. 1412 w *Lúbló* traktat z Jagiełłą, mocą którego wspomniane prowincye miały nadal pozostać w obecnych stosunkach — t. j. przy Polsce — aż do śmierci jednego z 3 braci jagiellońskich: Władysława króla, Witołda lub Zygmunta, w którym to dopiero czasie miał sąd polubowny sprawę rozstrzygnąć. Tymczasem i jeden z wymienionych władców, mianowicie Witołd, umarł (1430 r.) i nawet Jagiełło wbrew całej umowie wydał na zjeździe krakowskim 9. stycznia r. 1433 uroczysty akt wcielenia prowincyi ruskich do Polski, a Zygmunt prócz bezsilnych intryg znowu niczego na seryo nie przedsięwziął [2]). Rozumie się, że po jego śmierci r. 1437, po krótkich rządach Albrechta, za czasów Władysława Warneńczyka i Władysława Pogrobowca, żadne z tej strony Polsce i Mołdawii nie zagrażało niebezpieczeństwo. Tak więc obrona lennej prowincyi od zewnętrznych nieprzyjaciół nie kosztowała dotąd Polski ani jednego żołnierza.

Przynosiła zaś ta, tak łatwym sposobem nabyta, tak łatwym sposobem w porządku należytym utrzymywana kraina mnogie swym panom lennym korzyści. Wprawdzie mimo tych ciągłych hołdów nie ma mowy i śladu w źródłach o jakim *stałym* haraczu, ale zdarzało się przecież, że królowie polscy „pożyczali“ pieniądze od hospodarów na wieczne nieoddanie, lub kazali sobie dostarczać prowiantów w bydle na wojny pruskie. A otrzymywali też i pomoc wojskową w swoich potrzebach. Powszechnie znajomy jest fakt, że król Jagiełło nietylko polskie i litewskie chorągwie wywiódł na pola Grunwaldu, ale że rozporządzał też hufcami Wołochów i Tatarów, tak że się zdawało, jakoby cały wschód runął na zagładę niemieckiego Zakonu. Miewał też i syn Jagiełłów, Kazimierz, wołoskie roty w swej 13stoletniej walce z Krzyżakami. Ale najważniejsze usługi oddawała Mołdawia Polsce zawsze wtedy, kiedy przychodziło do konfliktu z Węgrami, przeciw którym była doskonałym posterunkiem — i to jest jej *właściwe znaczenie*, właściwa funkcya w tym organizmie państwowym, do którego się dobrowolnie przez hołd Piotra we Lwowie przyłączyła.

Widzieliśmy, jak błahe były prawa Polski do Podola i Wołynia; jak każdej chwili można się było obawiać, że Węgrzy o zajęte sobie przez wyprawę Jadwigi ziemie upomnieć się zechcą. W takim stanie rzeczy posiadanie Mołdawii było rzeczą nader ważną, jako jedynego przejścia łączącego Węgry z ziemiami ruskiemi dla tego, który trudne do przebycia a łatwe do obrony przesmyki karpackie chciał ominąć. Posiadając ją tedy, mieliśmy w ręku nietylko dobrą zasłonę dla ziem ruskich, ale też i zaczepny okop, w którym osadzona bitna załoga — jaką byli ówcześni jej mieszkańcy, zwłaszcza za czasów Stefana Wielkiego — niejedną mogła wyrządzić psotę, a nawet dywersyą królom węgierskim. Ztąd ilekroć nieznaski między przykarpackimi królestwami poważniejsze przybierać zaczęły rozmiary, tylekroć ściągano w Krakowie ciaśniej te węzły, jakie Mołdawię z Polską złączyły. Zachowały się ślady traktatów z czasów Jagiełły, którymi się w chwili zajęcia groźniejszego stanowiska przez Zygmunta do niesienia wzajemnej pomocy

---

[1]) Caro-Geschichte Polens III 55 et 199.

[2]) O tych stosunkach z Zygmuntem p. odnośne ustępy u Cara t. I II i IV. Układy z Wołochami według Inwentarium omnium et singulorum diplomatum etc. arcis cracoviensis 131—149.

szczególnie i wyraźnie przeciw Węgrom obowiązywano. Zachowały się takowe i z czasów Kazimierza Jagiellończyka; a tym razem nie pozostały te traktaty na papierze, jak dawniej, bo sprawa wzięła bardzo poważny, a nawet groźny obrót.

Stosunki nieco się zmieniły. Sprawa prowincyi ruskich, wskutek rządów Warneńczyka i Pogrobowca, przedawniła się — a jeśli nie całkiem poszła w Peszcie w zapomnienie, to przecież zeszła na stanowisko idealnego a niewykonalnego prawa. Owe kraje już z postępem czasu tak się były zrosły z organizmem państwowym polskim, że tylko najgwałtowniejsze wstrząśnienie mogło je odeń oderwać. Do tego zaś nie mieli czy ochoty, czy zasobów królowie węgierscy i zostawili sprawę jej własnemu biegowi, nie chcąc tylko żadną miarą zrzec się Mołdawii. Atoli Mołdawia otrzymała właśnie w tymże czasie, kiedy berłem Madiarów owładnął wojowniczy Hunyady, najdzielniejszego z swoich monarchów, hospodara Stefana, którego własny lud Wielkim a współczesne kroniki ruskie z zupełną słusznością „Chrobrym" nazwały. I oto kiedy król Maciej o poskromienie jego się pokusił, prowadząc na księstwo rywala jego Piotra — zadał mu Stefan stanowczą klęskę i zranionego w boju do zupełnego i ostatecznego opuszczenia Multan przymusił, poczem zdobyte chorągwie swemu panu lennemu do Wilna odesłał prosząc go o pomoc [3]). Kazimierz nadzwyczajnie rad był temu objawowi wierności swego lennika, od którego już wprawdzie kilkakrotne (r. 1459, 1461, 1462) przysięgi wierności i obietnicy hołdu przez posłów otrzymał, jednakże daremnie na osobiste stawienie się dotychczas czekał — nie dla tego tylko, że księstwo jego uratowanem zostało stanowczo dla Polski, ale że widział dzielne ramię, ofiarujące mu się do doskonałych przysług przeciw królowi Maciejowi, z którym teraz o nieco więcej miał się rozprawić, niż o Multany — bo o całą koronę św. Wacława. Wojowniczy bowiem następca św. Szczepana wolał tym razem uderzyć swym mieczem królewskim na zachód, niż śladem poprzedników swoich na wschód, a połączywszy się z katolicką przeciw Hussycie królowi Jerzemu Podiebradowi opozycyą, (1467 r.) zajął mu po dość zaciętej walce Morawy, Szlązk i Łużyce i kazał się w Ołomuńcu r. 1469 królem czeskim ogłosić. Naówczas Jerzy widząc następstwo synów swoich niemożliwem, chcąc ratować przynajmniej kraj od panowania Węgra a przytem szermierza kuryi i katolicyzmu, przechylił się na stronę drugiego pretendenta do korony czeskiej — słowiańskiego, a pod względem religijnym umiarkowanego księcia Władysława, syna naszego króla Kazimierza.

Tak znalazł się ten ostatni w gwałtownym konflikcie z Maciejem — a choć jeszcze za życia Jerzego od zbrojnego wystąpienia przeciw Węgrowi się wstrzymywał, to jednak jako monarcha roztropny i przezorny, przewidując konieczność niedalekiej wojny, na seryo się zbroić i sprzymierzeńców ściągać począł. Przedewszystkiem zaś zwrócił baczność swą na dzielnego lennika swego Stefana i już w rok po owym przysłaniu chorągwi do Wilna i w rok też po wystąpieniu Macieja na czeski plac boju (w lipcu 1468 r.) dowiadujemy się o zawartem przez posłów polskich w Suczawie — właśnie tak, jak to niegdyś za Jagiełły bywało — przymierzu polsko-wołoskiem przeciw każdemu nieprzyjacielowi, a przeciw Maciejowi wyraźnie i szczególnie — rozumie się, że z zawarowaniem hołdu dla Polski [4]). Celem odebrania tego hołdu jeździł król Kazimierz w czasie w. postu 1469 r. i w sierpniu 1470 r do Lwowa, ale wojewoda stawić się omieszkał, tłumacząc się niemożliwością opuszczenia kraju w chwili walki z sąsiadami swymi, mianowicie z besarabskim wojewodą Radulem. Mimo to jednak miał król z niego pożytek — w sierpniu 1469 puścił on swe zagony na Siedmiogród i porządnie go spustoszył; a w r. 1471, kiedy ze zgonem króla Jerzego walka między Polską a Węgrami rzeczywiście zawrzała, znalazły się — zapewne skutkiem nowego poselstwa przy końcu r. 1470 z Krakowa do Włoch wyprawionego — w wojsku polskiem znowu wołoskie hufy [5]). Nie długo jednak cieszył się król pomocą dzielnego swego lennika, bo właśnie nadeszła chwila, kiedy nowy, stanowczego wpływu czynnik wystąpił na naszą widownię dziejową, by wszystkie hospodara siły ku sobie ściągnąć i zaabsorbować. — Była nim *potęga turecka.*

(Dok. nast.)

[3]) Długosz II 415—19.

[4]) Długosz II 430—438. Posłów przez Długosza wymienionych znajdujemy w lipcu 1468 w Suczawie według tek Naruszewicza IV Nr. 93.

[5]) Dług. II 438, 447, 458. W Pradze krążyły wówczas pogłoski, że Kazimierz przez Wołoszczyznę gotuje napad na Siedmiogród. Por. Dr. Höfler: Das kaiserliche Buch des Markgrafen Albrecht Achilles 195. et pag. O spustoszeniach jakie Tatarzy i Wołosi w Węgrzech czynili r. 1471, pisze sam Maciej por. Eschenloer: Geschichten der Stadt Breslau herausgegeben von Kunisch. II 256, gdzie odnośny list jego jest umieszczony.

TYPY TROPIKALNE

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Mieliśmy jeszcze jednego poważnego człowieka, zaaferowanego Yankesa, co jak ów baronet angielski wciąż żeglował, ale zawsze spieszył na jakiś termin, do jakiegoś miasta, nieznanego najbieglejszym geografom... Właśnie odstawił liweranek „czegoś" do Mogadoru w Marokko, a teraz musiał być na wyspie Saint Thomas na oznaczony dzień i godzinę, żeby odebrać liwerunek nie pamiętamy czego. Co pięć minut patrzył na zegarek i rzucał kawałek papieru na morze. Okręt mijał szybko te papierki, ale za powoli dla zaaferowanego człowieka. Przepowiadał on ze swoich obliczeń szybkości okrętowej, że spóźnimy się o pół doby w Saint Thomas. Trudno było obstać z tym człowiekiem. Gdy grał wista, miewał co najmniej trzy honory, w warcabach zawsze pierwszy koronował królowę, a w ulubionej na okręcie grze rzucania miedziaków w kółko o kredą nakreślone, trafiał w same centrum, aż zebrał wszystkie miedziaki okrętowe. Napełniwszy niemi wszystkie swoje kieszenie, dokuczał nam nieustannie brzękiem swojej zdobyczy.

Jego uniwersalne zdolności wbiły klin w głowę jedynej poważnej damie na okręcie, która była typem angielskich podróżniczek, jadących zawsze do męża gdzieś na końcu świata. Nie wiemy, czy wszystkie panie tego rodzaju są podobne do siebie do nieodróżnienia, czy też jednę i tę samę spotykamy wszędzie, która owego męża nigdy znaleść nie może. Ale każda taka błędna owca bywa rudą, z długiemi przedniemi zębami i wązkiemi wargami, wszystkie też wożą się z ostatnią powieścią „Wilkie Collins'a," wszystkie mają w tej powieści znak różowy, który się nigdy nie posuwa, bo rozmowy i zajęcia okrętowe odrywają uwagę od książek. Niniejszej wojażerce zapełniało czas głębokie rozmyśliwanie nad trzema honorami, bez których ów Yankes nigdy nie grał w wista.

W ostatnim dniu życia na *Colon'ie* odkrywamy nowy przedmiot podziwienia w postaci czterech podporuczników ze szkoły West Point, w granatowych mundurach, ze złotymi guzikami i w czarnych jedwabnych cylindrowych kapeluszach, którego to ubioru tylko amerykański oficer nie uważa za rzecz arcyzabawną. Zaawansowano ich przed tygodniem z kadetów na oficerów, poczem Stryj Sam wysłał ich natychmiast przez Panamę i Kalifornię do Alaski, czyli byłej rosyjskiej Ameryki, gdzie garnizon z trzystu ludzi rozkoszuje w klimacie islandzkim, pośród zbydlęconych Indyanów i Eskimosów. Biedni chłopcy chorowali najpierw z powodu morza, a teraz z tęsknoty. Ciężką musi być ta ostatnia choroba... albowiem nawet nie zwracają oczu na piękną senhorytę, pomimo swych lat dwudziestu. Jeden zaziera niekiedy ukradkiem w maleńkie, safianowe pudełeczko ze sprężyną... ręczę, że ma tam heliominiaturę, może matki, może droższą... wiezie ją jako lampę pod ołowiane niebo. Pośród nocy bez końca w Alaszce, zaświeci ona biednemu pacholęciu promykiem nadziei.

Ale oto bieleje *Saint Thomas,* murzyńsko-yankesowskie miasto, niegdyś w posiadaniu duńskiej królewskiej mości, stolica żółtej febry i komunikacyi morskiej dla całej zatoki meksykańskiej, od Antyllów i Bahamów do Aspinvallu. Tu czeka na Colon'a, i na każdy inny północno-amerykański lub europejski parowiec, flotyla statków z Kuby, Jamaiki, Portorico, Port-au-Prince, Demarary. Tu odbiorą Colon'owi część podróżnych i poczty, niemego senhora i piękną senhoritę o źrenicach, co z po za długiej rzęsy wyzywają tak zdradziecko. Tu przesiądą się na rozmaite okręta owi Niemcy, Francuzi, Anglicy, Portugalczycy i Hiszpanie, płynący do różnych części południowej Ameryki. Więc każdy z nich przypomniał sobie, że podczas żeglugi miał się uczyć języka przyszłego swego miejsca pobytu. Z wyrazem skruchy wydobywają gramatyczki i książeczki z dialogami, a każdy trzepie litanię hiszpańskich frazesów, że okręt przypomina bożnicę.

Zgniły, nieznośny powiew przeciągnął od lądu, zabójcze tchnienie świętego Tomasza, rokrocznie dziesiątkującego swą ludność morem żółtym, jeżdżącym na tym wietrze zadżumionym. Nawet dziatki na pokładzie Colon'a zadrżały instynktowo, zwietrzywszy to tchnienie złowrogie. Już się nie napierają o pokazanie sobie zegarków naszych, już nie plondrują naszych kieszeń szukając pomarańcz i bananów, blade całe stoją i patrzą na ląd, o którym słyszały od majtków, że połyka najmilsze niewiniątka, które chociażby na chwilę musiały stanąć na jego wybrzeżu.

Nic nie uroni *Colon* ze swojej dziatwy, bo przesiadanie ze statka na statek odbywa śród portu, po za kwarantanną. Przeładowują nas jak paki towaru, nie pytając, czy przypadkiem nie związała nas kilkudniowa zażyłość nitkami sympatyi. Rozrywają znajomości i przyjaźnie. I tak, gdy nas przerzucają jak piłkę na jeden statek, a baroneta zostawiają na Colon'ie, siwa głowa

senhora i purpurowe pióro donny znikają na innym parowcu, co już dmie i huczy, pędząc ku stronie, gdzie Jamajka leży. *Vale Senhor!*

* * *

Zapytywaliśmy siebie nieraz, gdy w zaciszu wiejskiem rozpamiętywaliśmy o morzu podobnem do szyby turkusowej, o wyspach gdzie wielkich gór piramidy piętrzą się w jedną ogromną piramidę, o licach delikatnych jak zefir wiecznej wiosny, co się też stało z senhorem i z senhoritą? W końcu wmówiliśmy w siebie, że ostatniej nie widzieliśmy nigdy na jawie, że wyroiliśmy sobie tę cerę cokolwiek oliwkową, ten uśmiech nie ziemski, te źrenice podobne do oczu gazelli, te rysy greckie i stopy dziecinne, tę dumę królewską wreszcie, jako typ kreolskiej urody. Zresztą, urojony ten obraz zwolna pełzł i blakował w pamięci naszej, zjawiał się coraz rzadziej, zacierał do szczętu, i ubyło jedno utrapienie. Licho nadało, że go odświeżył z nienacka sam oryginał...

Parę godzin żmudnej jazdy wprost pod górę, aż muł nasz, jak rakieta lecąca wyżej i wyżej, przebił niższą strefę mgły, ulewy, piorunów i stanął przed werandą białego dworu, o tylu wielkich oknach, iż wyglądał na kształt kryształowego pałacu. W szerokich ramach drzwi otwartych na roścież stał siwy, rumiany, okrąglutki jegomość, witając nas uśmiechem i skinieniem głowy, a z taką powagą, że nikt nie posądzałby w nim oberżysty. Figura tak poważna i pokaźna zdałaby się raczej na ochmistrza przy hiszpańskim dworze i do stroju hiszpańskiego granda pierwszej rangi, niż na karczmarza w oberży, u pół drogi do szczytu góry, zwiedzanej rokrocznie przez tysiąc turystów. Jednakże ta ujmująca powaga cechowała wyjątkowego karczmarza, a nim był nasz dawny znajomy, milionowy niegdyś senhor...

Źle się działo na górach. Ulewa zatopiła ścieżki, przewodnicy odmawiali usługi, aż się ustali pogoda. Prawdę mówiąc, nikt się nie kwapił z hotelu senhora. Stół zastawiono wykwintnie, w misternie plecionym koszyku leżały wyborne hawańskie cygara przebite słomkami, stoły uginały się pod stosami fotografii lub pism ilustrowanych, wino chłodzono w lodzie przed podaniem, bardzo umiarkowane rachunki przysyłano, a o każdej porze kołysała się w wielkim, wklęsłem oknie, na biegunowym fotelu, piękna senhorita, łącząca matrony i dziewicy wdzięki na oliwkowej twarzy. Dziwnym zbiegiem okoliczności w temże oknie umieścił senhor swój zbiór wężów w spirytusie, z których żaden nie był za życia o tyle niebezpiecznym, o ile groził spokojowi gości uśmiech senhority. Jednakże gady te należały do najjadowitszych wedle słów donny. Zapewniała nas, iż ta oto, koralowej barwy gadzina zabiła draśnięciem zęba murzyna, co ją złapać musiał i do butelki wsadzić na rozkaz senhora.

W rogu sali stała otwarta szafa z książkami. Któż jednak czytuje na seryo w tropikalnym kraju? Tylko małpka, przypięta niedaleko na zadługim łańcuszku zajmowała się tą biblioteką, sięgając do szafy i odrapując ciężkie foliały.

Z okna widzimy las bambusów, splecionych siecią powojów *quaresma* z kwieciem purpurowem. Kolibry migają pomiędzy bambusami na kształt grotów rubinowych, szmaragdowych, ognistych. Po za gęstwiną pną się góry, wyżej i wyżej, otulone brzemieniem borów liściastych, podobnych do bogatej szaty, co odziewa królowę. Po ulewach niedawnych mętne kaskady strzelały ze skał pionowych, chwiejąc się w mglistem powietrzu na kształt filarów miotanych trzęsieniem ziemi, spadając z łoskotem w tajniki lasów. Po nad niemi gdy wiatr rozdarł chmur koronę, sterczy obelisk najwyższej góry w okolicy, cały szary, od trachytu z którego się składa. Obelisk ten pękł na poły u samego szczytu, a w ramach tej szczeliny oglądamy co wieczora część tarczy zachodzącego słońca. Po zachodzie wsuwano w okna muszlinowe zasłony, wykluczające nocne komary z domu. Tylko ich brzęk za muszlinem, mruczenie strumyka płynącego przez ogród i kołatanie biegunowego fotelu senhority odzywało się w namacalnej ciemności tropikalnego wieczora.

Ferdynand — czarny, otyły, zawsze w śnieżnej bieliźnie występujący paź podzwrotnikowego hotelu, wnosił lampy, sycone olejem palmowym, płonącym z wonią przyjemną. Towarzystwo zbierało się dokoła okrągłego stołu, fotel senhority przesuwał usłużny murzyn bliżej do nas, a senhor pozbywszy się trosk gospodarskich, nigdy zbyt ciężkich, zmieniał się w pana bawiącego towarzystwo sproszone. W tych tropikalnych hotelach i w społeczeństwie bezwzględnej równości pomiędzy ludźmi białej cery, trudno niekiedy zdać sobie sprawę, kto komu łaskę wyświadcza, czy my właścicielowi, stojąc i płacąc w hotelu, czy właściciel nam, przyjmując nas z taką łaskawością.

Senhor był kupcem antylskim niegdyś, i to bardzo bogatym. Obecny hotel tworzył jego willę letnią; była to jego *fazendo*, a zawsze miała wrota szeroko otwarte dla wszystkich, co szukali gościnności u magnata tropikalnego. Rząd hiszpański zabrał mu dobra na Kubie, i składy w Hawannie i statki na Antylskiem morzu, za urojone porozumienie z powstańcami kubańskimi. Tylko willa, chroniona obcą banderą, uszła grabieży. Senhor nie zmienił jednakże na włos swego toru życia, oprócz tej różnicy, że za gościnność w swojej willi kazał sobie płacić. Koło dawnych przyjaciół nie odstąpiło go, a królowa domu, znajoma ze statku Colon, wciąż tu panowała samowładnie.

Stary Kreol zatrzymywał gości w domu ujmującemi komplementami, piękna Kreolka nie pozwalała im wyrwać się po za obręb swoich spojrzeń, a czarny Ferdynand doglądał ich cielesnego dobra. Z tem imieniem wiąże się sto wspomnień. Karzeł ten nie miał nad 4 stopy wysokości, oczki świeciły mu ze łba kudłatego na kształt szklannych, okrągłych paciorek, a usta rozszerzały się wiecznie od ucha do ucha dobrodusznym uśmiechem. Dobroduszności co nie miara mieściło to czarne cielsko, ale o moralności, obowiązkach i takcie w postępowaniu nie miał on pojęcia. Odbiegał najpilniejszej, poruczonej sobie pracy, gdy się trafiła sposobność łasowania; odcisk jego pulchnych palców zjawiał się regularnie na łakociach przynoszonych na stół, bo je kosztował w drodze. Gdy tańczono w salonie, a działo się to każdego wieczora, przy dźwięku fandangów, granych na gitarze senhority, Ferdynand zapominał o zastawieniu wieczerzy, gdyż w przedpokoju także dreptał fandanga. W piękny dzień znajdowano go we śnie głębokim na słonecznej stronie domu, o ile słońce piekło straszniej, o tyle głośniej chrapał Ferdynand. Z małpami w bambusach i z oswojoną małpką w salonie żył w chronicznej wojnie, a twarz miewał podrapaną i palce pogryzione przez ułaskawione papugi, trzymane w każdym pokoju. Z przewrotnością wrodzoną rodowi murzyńskiemu narażał się zawsze na samą krawędź przepaści, co spadała stromo tuż po za domem ku nizinom, ale chociaż stoczył się parę razy dość boleśnie, uszedł dotąd z całym karkiem. W salonie zjawiał się w najniedogodniejszych chwilach, właśnie gdy gość śmielszej natury odważył się przysiąść do samotnej senhority, gdy ona przerwała swoje kołysanie, gdy się szarmantowi zdawało, że z po za roztoczonego wachlarza wpajała w niego wyzywające spojrzenie, lub z przymrużonemi rzęsami i twarzą ogrzewaną przelotnemi rumieńcami słuchała szeptów zdradzieckich. Ręczę, że każdy z obcych panów miał choć raz taką sposobność, ale żaden nie powiedział stanowczego słowa, bo Ferdynand zjawiał się nagle nie proszony, z interesem do pani. Czy z głupoty to czynił, czy ze złośliwości?...

(Dok. nast.)

BITWA POD IGNACEWEM

I ODWRÓT Z POD KLECZEWA.

(Wyjątek z pamiętników o powstaniu 1863. r.)

(Ciąg dalszy).

W dniu 9 czerwca 1863 oddział nasz pod dowództwem pułkownika Raczkowskiego przybył przez Ruszków do Rudy Ignacewskiej na tak zwanych Kujawach leśnych. Ponieważ dzień był parny, a wiara nasza strudzona pochodem, więc poczęto zdejmować obuwia i ubiór, i szukać spoczynku w barakach, w lesie przytykającym do zabudowań wiejskich, pozostałych po obozie Taczanowskiego, który tu przed miesiącem stał i stoczył nieszczęśliwą bitwę w dniu 8 maja. Jednocześnie poczęto też rozstawiać pikiety, zostawiwszy poprzednio patrol z kilku kawalerzystów na trakcie z Konina do Sempolna. Na pochwałę pułkownika Raczkowskiego to trzeba powiedzieć, że pamiętał on zawsze o rozstawieniu pikiet, czynności tak niezmiernej wagi podczas wojny, a która w ostatniem powstaniu była przez dowódców niezmiernie lekceważona, tak że największą część naszych klęsk zaniedbaniu tego prawidła przypisać należy. Gdyby osoby wchodzące do składu Rządu Narodowego były zdolniejsze i energiczniejsze, nie ulega wątpliwości, że za klęską poniesioną przez nierozstawienie straży, karałyby dowódcę jako dopuszczającego się zdrady kraju, co przyszłe pokolenie z pewnością postanowi i dokona.

Jeszcze nie zdołano porozstawiać wszystkich pikiet, kiedy pozostawiony na trakcie patrol wystrzałem ostrzegł o zbliżaniu się Moskali. Był to ich oddział z roty piechoty i szwadronu huzarów księżnej Olgi złożony, pod dowództwem majora Iwanowa. Kapitan Malewicz, Polak, dowodził piechotą w tym odziale i z jego to pomysłu w tymże samym lesie, gdzie stanęli nasi, Moskale zrobili zasadzkę, aby na niespodziewających się napaści z nagła uderzyć, czemu jednak przeszkodził pozostawiony na drodze patrol konny. Na dany wystrzał poczęło się wszystko w naszym obozie zrywać, wciągać buty, chwytać za broń i lecieć do szeregu. Naturalnie sprawiło to chwilowe zamięszanie, w czasie którego świstały już sobie na dobre kule moskiewskie pomiędzy partyzantami. Jedna z takich kul przeszła na wylot przez piersi wychodzącego z baraku młodego księcia Schwartzenberga, pięknego

jak panna, przybyłego jako ochotnik z Berlina dla wzięcia udziału w naszem powstaniu. Pomimo ciężkości otrzymanej rany, wyleczył się on z niej później jednak i powrócił do rodziców. — Rozpoczęła się więc bitwa, która pomimo nieko rzystnego dla nas początku, bo niespodziewanego, okazała się wkrótce nam pomyślną, gdyż uderzywszy na bagnety i kosy, nasi przecięli ich na dwie części i te zmusili do spiesznej ucieczki. Część prawa moskiewskiego oddziału, strasznie przez naszych przyparta, nie mogąc się już dalej salwować, schroniła się do chałup, które obsadziwszy po zabarykadowaniu, rozpoczęła silny ogień. Pułkownik Raczkowski począł zachęcać żołnierzy swoich, aby podsunąwszy się pod chałupy, zapalili takowe dla wykurzenia Moskali. Żołnierze odpowiedzieli, że to niepodobna, bo z powodu silnych strzałów do chałup przybliżyć się nie można. Wtedy pułkownik Raczkowski podjeżdża konno i zapałką zapala kupę suchego chrustu, przytykającego do chałupy z Moskalami; ogień wkrótce poczyna buchać, ogarniać zatarasowane domy, a te jako drewniane płonąć szybko poczęły. Moskale to spostrzegłszy, wyskakując jak mogą, w najwyższem przerażeniu, ale ich wiele ginie od tych naszych, co się za pułkownikiem ku chałupom rzucili. Między innymi odznaczył się tu młody Jurkowski, który z bagnetem w ręku wpadłszy do chałupy palącej się, kilku tam Mokali zakłuł. — Wtedy to kapitan Malewicz, trzymając rewolwer i białą chustkę w ręku, wybiega z jednej chałupy i schwyciwszy konia pułkownika Raczkowskiego za szyję, poddaje się błagając o litość i powiadając żałośnym głosem, że i on jest Polak, że chciał już dawno do swoich przejść, tylko że dotąd przyjaznej sposobności nie miał. Kosynierzy rozpaleni bitwą i pożarem chcieli go na sztuki rozsiekać, tak że pułk. R. z największem tylko wysileniem zdołał go osłonić, a zrobił to najgorzej, bo Malewicz jako Polak walczący przeciw Polakom, powinien był koniecznie być w takim razie na miejscu rozsiekany. Do jego żałośliwych tłómaczeń nie należało najmniejszej przywiązywać wartości, gdyż same fakta zadawały im kłamstwo. Polak bił się przeciw swoim, jako żołdak moskiewski, a potem chciał naszym zadać fatalną klęskę, robiąc zasadzkę. Następnie bronił się do upadłego i wtedy dopiero się poddał, skoro dzięki naszemu męstwu i pożarowi nie mógł inaczej sobie postąpić. Wspaniałość zatem pułk. R. wcale nie była na swojem miejscu i każdy z nas musi ją bezwarunkowo potępić. W przyszłem powstaniu, jesteśmy pewni, że podobne wspaniałości naszych dowódców, będą sądzone jako zdrada kraju, gdyż są nią w istocie. Tem bardziej, że w oczach barbarzyńców moskiewskich, podobne przebaczenia niesłuszne są poczytywane nam za słabość uzuchwalającą ich do najwyuzdańszych bezprawi. Kiedy w styczniu 1863 na wiadomość o wybuchu powstania, dostojnicy moskiewscy zwołani byli na naradę, co czynić należało, wtedy wszyscy powiadali, że trzeba największemi okrócieństwami przerazić buntowników. Jeden tylko stary jenerał odezwał się wtedy, że Polacy mogą względem nas użyć odwetu, a wtedy nie tylko każdy oficer w ich ręce wpadły, ale nawet żony i dzieci moskiewskich urzędników i wojskowych mogą być straszliwie wymordowane. Oni się na to nie ośmielą! zawrzasnęli inni obradujący i postanowiono używać najwyszukańszych okrócieństw przeciw naszym partyzantom. — I w samej rzeczy nie ośmielono się używać u nas odwetu, który sam tylko mógł pohamować barbarzyńców — i który w przyszłości przekona wszystkich, że z dziczą nie można inaczej postępować, bo ona wszelką szlachetność, nie rozumiejąc zupełnie jej, poczytuje za słabość.

Moskale w tej gorącej aferze stracili prócz wielu rannych, do 40 zabitych; w jednej chałupie, z której kosyniery niedopuścili ich ucieczki, spaliło się ich dwudziestu. My mieliśmy 3 zabitych i 4 rannych. — Po zabraniu do niewoli kapitana Malewicza, Moskale rąbani przez kosynierów i strzelców, uciekali w największym popłochu, rzucając nawet broń i buty, aby się przez grzęskie błoto prędzej przeprawić. Gdyby nasza kawalerya była się ośmieliła przypuścić szarżę wtedy na uciekających, jak to jej dowódca Mierzyński napróżno komenderował, byłoby mało co, lub nic może Moskali nie wyszło z tej rozprawy. Szarżę tę można było dokonać tem śmielej, że z powodu miejscowości huzary moskiewskie nie były na placu bitwy.

Reszta Moskali z przeciętej na dwoje ich roty, tak jak i niedobitki z chałup uszłe, uciekła do olszynki odległej na jakie 120 kroków od błot i ztamtąd ciągle na naszych strzelali. Pułkownik chciał ich ztamtąd wyparować, aby jednocześnie zabrać moskiewskie furgony, stojące tamże. Nasi będąc po raz pierwszy dopiero w boju, ociągali się z uderzeniem na olszynkę. Wtedy pułkownik Raczkowski powiada: No! kiedy wy nie chcecie, to ja sam do olszynki pojadę, i ruszył, a za nim jego adjutant Franciszek Dąbski. Widząc to podporucznik Drogowski, poskoczywszy naprzód, chwyta konia za cugle i woła: Nie jedź Pułkowniku! bo zginiesz. — Wolę zginąć jak takimi tchórzami dowodzić! — Tknięta tem wiara, nie zważając na strzały, galopem ku olszynce poskoczyła i w jednem mgnieniu oka Moskale wyparci, w panicznym przestrachu uciekali, nie kusząc się już więcej gdziekolwiek zatrzymać. — Pokazuje się z tego, że ten świeżo zebrany żołnierz miał pewne już poczucie honoru. W oddziale naszym było wielu Poznańczyków, młodzieży zacnej i patryotycznej; jeden z nich Szałkowski, uczeń z Trzemeszna, dzielnie się bijąc, zginął w tym ataku na olszynkę, gdzie także między innemi podporucznik Drogowski był ranny, a pod pułkownikiem Raczkowskim ubito konia. — Podczas całej tej bitwy major Nelidów ze swoim oddziałem Moskali znajdował się niedaleko. Maszerując właśnie posłyszał pierwsze strzały, i stanął w Boguszycach. Niezadługo przyprowadzono do niego dziada, idącego po kweście od strony Ignacewa. Nelidow zapytał się go: Jak tam dużo jest buntowników? Dziad na to: O jest, jest, porządna kupa, aż czarno wszędzie, chyba z 10,000. O niechże im Matka Boska Częstochowska dopomoże. — Nelidów za te życzenia kazał niemiłosiernie zbić dziada.

Po tej bitwie, ponieważ wiadomości pewne dochodziły, że Moskale zewsząd znaczne siły gromadzą, nasi na furmankach udali się do lasu pomiędzy Kazimierzem a Kleczewem. Tam nadrugi dzień z rana, to jest 10 czerwca nadciągnęło 10 rot piechoty moskiewskiej, 2 szwadrony huzarów, parę armat, a przytem jak zwykle w dodatku wcale piękny komplet kozaków i obieszczyków. Bitwa rozpoczęła się na miejscu obranem przez pułkownika Calliera, naczelnika sił zbrojnych Województwa Mazowieckiego, od kilku dni przebywającego przy oddziale pułkownika Raczkowskiego. — Pułk. Raczkowski wbrew swemu przekonaniu, musiał się zgodzić na przyjęcie bitwy w obranej miejscowości przez swego naczelnika wojewódzkiego, lecz był do tego stopnia pewny nieszczęśliwego rezultatu spotkania w tej miejscowości, że tłómoczek swój z bielizną dotychczas zawsze na furgonie wieziony, kazał sobie przynieść i przypasać do siodła, mówiąc że nie chce go stracić. Pułkownik Callier jednak uporniе obstawał przy swojem. (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Widzimy, że florentyńskie i w ogóle toskańskie malarstwo doszło po długiej i niepewnej celu drodze do przedstawienia nielicznych albo nawet samotnych postaci, stojących na pierwszym zawsze planie, na nijakiem tle, w posągowych pozach. Nagość, kształty idealne, albo równie idealne draperye, oto cechy tych postaci dziwnie podobnych do starogreckich posągów. Sztuka toskańska budowała zrazu, mozaikami zdobiąc gmachy. Skoro z mozaik wyczyniła malarstwo, zarzuciła tak wymowną gmachów symbolikę, a ledwo malarstwo do poszukiwanego celu doprowadziła, wydała z siebie wskrzeszony wtór starożytnej rzeźby, spychający odtąd malarstwo na drugi plan.

Rzeźbiarstwo urabiało sobie już i wpierw technikę. Bez tego nie mogłoby nigdy było stanąć na wyżynie, na której ją postawili mistrze szesnastego wieku. Zajmowało ono jednak podrzędne miejsce tak w czternastym jak i w piętnastym wieku, wpierw jeszcze wcale nie istniało a w szesnastym wieku stanęło w Toskanie stanowczo i bezwarunkowo na pierwszem miejscu, przeżyło obumierające malarstwo, i samo jedno do dni naszych we Florencyi dotrwało.

Pierwszym rzeźbiarzem chrześciańskim na ziemi toskańskiej, i pierwszym tu zrodzonym rzeźbiarzem, którego imię aż do nas przyszło, był Mikołaj z Pizy, czyli po włosku *Nicolo Pisano*, współczesny Giota. Przypatrzywszy się sarkofagom starożytnym, usiłował je z wszelką dobrą wiarą naśladować, ugrupował mnóstwo figur na kazalnicy pizańskiej; i choć nie mógł prawdy i życia schwycić, choć nawet jego miniaturowe postacie są niezgrabne, zasłużył się około rzeźbiarstwa podobnie jak Giotto, około malarstwa. *Orcagna* i inni usiłowali nadaremno technikę udoskonalić. Rzeźbili ciągle obrazy, na których mnogo postaci się cisnęło i nie mogli ich rozłączyć i ugrupować. Rozumny *Bruneleschi* zrozumiał, że na to, by módz rzeźbić, trzeba dokładnie symetryą ciała zbadać, i stworzył przeto swój krucyfiks w Santa Maria Novella we Florencyi. Jestto nadzwyczaj staranne i dokładne studyum nagiego ciała, rozbitego na krzyżu, i urobionego z drzewa, w naturalnej wielkości. Mówiono o nim, że chcąc zeźbić, rzeczywiście niewolnika kazał przybić do krzyża. Na każdy sposób jestto staranna i bezmyślna kopia brzydkiego ciała, przy której Bruneleschi się uczył, a przy której nie tworzył. Ucząc siebie, nauczył i młodsze pokolenie artystów, i rzeźbiarze współcześni Gorzolemu, Signorellemu i Leonardowi już zupełnie swobodnie dłutem władali i już zupełnie dobrze kształty ciała i pozory życia od-

dawali. Ale gust epoki, przeciwny przedsięwzięciom monumentalnym, nie sprzyjał rzezbie i ska zywał ją na wykonywanie miniaturowych tylko utworów — albo też kazał jej rzeźbić przeciwne jej naturze krajobrazy. *Ghiberti, Mino da Fiesole, Donatello* i najmłodszy z nich *Benvenuto Cellini*, oto najsławniejsi mistrz owej przygotowawczej epoki. Wszyscy byli raczej złotnikami, jak rzeźbiarzami, a zmuszała ich do tego epoka, lubująca się tylko w domowym i prywatnym zbytku. Z marmurem tedy prawie nie umieli się obchodzić.

Ghibertemu dano niby monumentalne polecenie. Kazano mu odlać drzwi do florentyńskiej chrzcielnicy. Ale gust ówczesny wyraźnie wskazał mu pole działania i kierunek pracy. Na owych drzwiach miało być dwanaście kwadratów, a każdy kwadrat miał opowiedzieć rozdział z pisma świętego, podobnie jakto czyniły obrazy Gozzolego w cmętarzu pizańskim. Rzecz tedy zeszła najzupełniej na arcymisterną i drobnostkową robotę złotniczą. Wyrobiono cudne ramy dla dwunastu płaskorzeźb, a na każdem, niewielkiem wcale polu stworzono rzeźbione niby krajobrazy, gdzie perspektywa jest nonsensem. Dalsze niby przedmioty, wydają się mniejszemi tylko, skoro je zarówno z bliższemi palcem namacać można. Ta okoliczność rodzi dziwny chaos. Widać obok siebie mniejsze i większe, dokładniej i pobieżnie wyrobione postacie, i to samo jedno byłoby wystarczyło na to, by Grek rzecz tę potępił. Florentczyk cieszył się tem. Każde pole opowiadało mu różne historye nadzwyczaj misternym językiem. Oko znawcy rozpoznawało tysiąc szczegółów na małem polu, tam gdzie pospolite oko wśród chaosu nic nie rozróżniało. A dodać należy, że postacie na tych polach, albo nagie, albo klasycznie drapowane, są pysznie wykonane — i że Ghiberti Leonarda uprzedził, goniąc już za ideałem. Wyrazów na twarzach nie ma, ale są doskonale piękne miniaturek linie.

Mino da Fiesole tworzył całe życie z terra koty medaliony, na których widać było madony o krąglutkich twarzach, z malowanemi niebieskiemi oczyma, i pyzate dzieciaki. *Donatello* odważniejszy nie płaskorzeźby, ale posągi prawdziwe odlewał. Szukał on prawdy tak, jak jej szukał *Signorelli.* W niszach zewnętrznych kościoła *Or San Michele* we Florencyi widać dwa posążki Donatella. Jeden przedstawia rycerza w zbroi, o pomarszczonej, ostrej, wąsatej twarzy, co sama jedna wygląda z przyłbicy. Reszta ciała ukryta pod pancerzem, a żelazne rękawice oparte na mieczu. To ma być święty Jerzy. Drugi posąg przedstawia młodego św. Jana Chrzciciela. Jestto półnagi, bardzo chudy, dość brzydki chłopak, o na poły otwartych uściech i nieintelektualnem wejrzeniu. Wzór wzięty z pastucha z okolicy Florencyi, ale robota nagiego ciała musiała wywołać oklaski i pochwały znawców toskańskich.

W Padwie miał Donatello jedyną w życiu sposobność. Kazano mu przed kościołem świętego Antoniego odtworzyć wodza Guattamalotę w naturalnej wielkości. Donatello tedy po raz pierw- w chrześciaństwie odlał tak wielką postać, ale sposobu traktowania nie zmienił. Chodziło mu podobnie jak współczesnym malarzom tylko o uwiecznienie rzeczywistości. Rzeźbiarzowi piętnastego wieku nie o ciało ludzkie chodziło, chodziło mu o to, by wieki widziały Guattamalotę takiego, jakim bywał wśród bitwy. Stanął tedy rycerz w pancerzu, na koniu w pancerzu. Tylko twarz człowieka i nogi końskie nagie — zresztą wierne to oddanie wielkiej żelaznej skrzyni, w której ówcześni ludzie do boju chodzili. W radnej sali tej samej Padwy zbudował ten sam mistrz, zupełnie wiernie, kolosalnego drewnianego konia — wyrobionego tak, jakby miał służyć za preparat zoologiczny — bez myśli innej nad naśladownictwo.

Cellini działał już pod wpływem Leonarda i starożytnych — a zwłaszcza pod wpływem Leonarda. W *Loggia dei Lanzi* we Florencyi stoi naga przez Celiniego wylana spiżowa postać. Jestto Perseusz z głową Meduzy. Bohater ma hełm na głowie, a miecz w jednem ręku. Drugą ręką głowę wężowłosą podnosi. Wielki strumień krwi czarnej, spiżowej bije z uciętej szyi. U stóp bohatera drga, w śmiertelnej katuszy ciało ściętej i pokrwawionej dziewicy. Postacie obie kolosalne i czarne spoglądają ponuro z pod łuków loggii. I już nie daje wystąpić wyraźnie idealnie pięknym kształtom i rysom olbrzymiego bohatera, a tylko zupełnie realistycznie udane kurcze śmiertelne Meduzy wpadają w oko. Ale ów obojętny, olbrzymi, piękny Perzeusz podobny już do starożytnych bohaterów, i wróży wraz z obrazami Andrei i Bartolomea chwilę, w której rzeźba obejmie berło sztuki. Tylko owe posągi spiżowe jeszcze nie dość plastyczne i widne.

Szekspir wprowadza na scenę w swojej „powieści zimowej“ skamieniałą królowę, co powoli przychodzi do życia, i co wreszcie zstępując z piedestału, rzuca się mężowi w objęcia. To samo dzieje się we Włoszech w średnich wiekach z tysiącem artystycznych ideałów. Skamieniałe zrazu i martwe postacie przychodzą powoli do życia, a u Donatella i Celliniego przyszły już do życia zupełnie.

Jak Jakób we śnie z Bogiem walczył, tak walczyli z nim artyści Toskany. Wydzierali mu jednę tajemnicę formy po drugiej, by módz wreszcie chrześciański ideał przedstawić oku ludzkości. Po trudach wiekowych uczynił to wreszcie *Michel Angelo Buonarotti*, zwany po polsku wprost Michałem Aniołem. Bruneleschi odtworzył był w kopule swojej wymowny symbol wszechmocnego Boga. Michał Anioł Boga samego wyprowadził przed oblicze narodu, uwidomionego kształtem ludzkim, ale promieniejącego potężnie z po za kształtów. Był i budowniczym; jako rzeźbiarz i malarz zwycięźył w walce Jakubowej; ale rzeźbiarzem był przedewszystkiem. A że nosił imię archanielskie, przezwano go archaniołem sztuki.

Pierwszem jego sławniejszem dziełem jest z marmuru już wykonana Madonna z ciałem Chrystusa. Ustawiono ją w jednej z bocznych kaplic św. Piotra w Rzymie i nazwano: „la pietà“. Madonna ubrana wedle tradycyi w długą tunikę o długich wąskich rękawach i w płaszcz, nietylko kibić, ale i głowę osłaniający. Tylko ręce, twarz i szyja występują z po za miękkich i pięknych fałdów marmurowej szaty. I nagie części ciała, i kształty występujące z popod fałdów szaty młodociane i idealne, jak dzieła Praksytelesa. Zakonna prawie szata czyni z tej dziewczyny chrześciańską świętą. Dziecko to przecudne poświęcało się całe Bogu czystości; dalekie od zabaw kryje i włosy i wdzięki, wyrzekło się ziemskiej miłości i przybrało pokutę za nieswoje grzechy.

I patrzcie! patrzcie! jakie dźwiga brzemię. Złożyła na kolana swoje trupa mężczyzny. Martwe ciało ciąży kolanom dzieweczki. Z jednej strony uwisła głowa z ramionami, z drugiej legły ranami przebodzone nogi. Takież rany i na dłoniach, a na piersi rana najszersza. Po stygmatach owych znać, że to trup Chrystusa.

(C. d. n.)

Z NIEZNANYCH POEZYI

WŁ. SYROKOMLI.

HYMN DO ŚWIĘTEJ WERONIKI.

Gdy się nad Zbawcą ciżba okrutna,
Prowadząc na śmierć, pastwi jak może,
Tkliwa niewiasta ze szmatem płótna
Pospiesza otrzeć oblicze Boże.

Starlszy znój z czoła i krew co płynie,
Chrystus niewiastę pamiątką darzy,
Oto na białej płótna tkaninie,
Odbija obraz swej boskiej twarzy.

Duszo w miłości bożej ognista!
Coś otrzymała cud znakomity,
Módl się za nami, niech obraz Chrysta
Na naszych sercach mamy odbity!

Śladem Chrystusa, gdy cierpiąc srodze,
Dźwigamy krzyże na smutnej ziemi,
Uproś nam cnotę, wytrwanie w drodze,
I miłosierdzie nad cierpiącymi.

Wł. Syrokomla.

DO BRACI LWOWIAN
PIOSENKA.

(WSPOMNIENIE POBYTU WE LWOWIE).

Hej! hej! bracia od Lwowa!
Wasz towarzysz broni.
Z pod smutnego Krakowa,
Szle wam uścisk dłoni.

Tydzień wśród Was i drugi,
Przemknął mi godziną;
Dzisiaj znowu dzień długi,
Chwile ciężko płyną...

Zkąd mi taka tęsknota?
Och! bo moje blizny!
Wiąże z Wami nić złota
Miłości ojczyzny.

Zastęp wsteczników, którym
Pierś robak przewierca,
Lży Was zgrzytem ponurym,
Że biją Wam serca.

I do szpiku zatruty;
Woła: „Frakcya płocha!“
Och! zarzuty! zarzuty!
Że ktoś nadto kocha!

Po gorżkim życia biegu,
Walczyć za ojczysty
Kraj — stanąłem w szeregu,
Wszech — miłością czysty.

Wśród nich jam odsłoniętą
Duszę wlał w piosenkę;
Jak wroga mnie popchnięto...
Wyście dali rękę.

Hej! hej! bracia od Lwowa!
Towarzysze broni!
Serce wspomnienia chowa...
Śle wam uścisk dłoni.

Pisałem w Boczowie d. 26 listopada 1877 r.

M. Rodoc.

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

II.

W pierwszym liście przemknąłem się myślą po powierzchni naszych usposobień i stosunków, muskając je zaledwo, podobny jaskółce szybującej nad wodami jeziora. Zaczynam coś nadto idyllicznie, bawiąc się w porównania siebie z jaskółką, i to w chwili gdy mam poruszać kwestye ciężkiego wagomiaru. Nie chcę być jaskółką, wolę być górnikiem i z miną recenzenta dramatycznego zapuścić się w głębokie miny naszych tajników, aby ztamtąd wynieść złoto i srebro warszawskie, i pokazać je zakochanej w sobie Galilei.

Warszawka na powierzchni swej bawi się i uśmiecha, bawi się w tombole i koncerta, a uśmiecha do nędzy, rada, gdy ją *Bluszcz* nazywa wielką *jałmużnicą*. To ją bawi, a mnie oblewa rumieńcem, jak można moję stolicę nazywać wielką jałmużnicą. Bawić się Warszawka lubi i za zabawami przepada, w czem staje się podobną do Paryża, a to podobieństwo zachwyca ją.

Poza powierzchnią szyku, zabawy, uśmiechów, kokieteryi, dobroczynności i mody, małych plotek a wielkich zazdrości, są ludzie cisi i poważni, nie dla szyku lub reklamy, którzy z rodzajem obawy, lecz zarazem serdecznej radości, patrzą na dramat odgrywający się jednocześnie na wschodzie i południu. Scenami wschodniemi są Petersburg i Moskwa, południową Dunaj i Bułgarya.

Rok 1863! Nie waham się wyraźnie napisać tej strasznej daty, która u reakcyonistów wywołuje przekleństwa, u ludzi małego serca, wstręt, a u szlachetnych natur, patrzących na bezpośrednie następstwa, smutek i żal, gdy dla człowieka umiejącego patrzeć, data ta jest poprostu początkiem prologu, do odegrać się mającego dramatu, odrodzenia Słowiańszczyzny, a dla nas Polaków, Polski.

Jakoś się dziwnie plecie na tym Bożym świecie, a chęć wszystkiego dochodzić staje się rozkoszą dla ludzi, umiejących obejmować wzrokiem szeroki horyzont i ze spokojem badać przyczyny i skutki walk tego świata, zdobywającego sobie coraz nowe, a nigdy niedościgłe ideały.

Rok 1863!... Polska zwyciężona odgrywa w stosunku do Rosyi nieustannie rolę zwycięzcy, wprawdzie nie w kierunku, jaki życzą sobie nasi Stańczykowie, aby ją zrobić fermentem do skatolicyzmowania Rossyi, lecz niestety wprost przeciwną. Polska bezwiednie rewolucyonizuje Rosyę, sprowadzając swojem męczeństwem na przyszłość kataklizmy, które ją do gruntu mogą przeobrazić. I gdyby carat umiał lepiej patrzeć w przyszłość, nie cieszyłby się z łatwych zwycięstw i nie pastwił w 1863 roku, z obawy, aby ta biedna męczennica nie znalazła zbyt srogiego zadośćuczynienia w łonie samej Rossyi.

Wstąpienie cara Aleksandra na tron inaugurowało epokę odrodzenia Rossyi. Młodzież rossyjska gorąca, szlachetna i patryotyczna cisnęła się do administracyi, aby zdolności swe i nieskazitelność oddać na usługi narodu. Powstanie polskie wywołało w niej imię poczucia sprawiedliwości, a nawet wedle wykluwającej się idei słowiańskiej, sympatye, a oburzenie przeciw rządowi. Wiedział o tych objawach dwór, i od tego czasu datuje się w Rossyi reakcya. Zaczęto młodzież podejrzywać, a podejrzaną rugować ze służby. O ile reakcya wzrastała, o tyle duch opozycyi potęgował się, a nie mając żadnego innego punktu wyjścia, rzucił się na manowce tajnych konspiracyi, które siecią swej organizacyi oplątały Rossyę. Tajemniczość jest ich urokiem, a wielkich rozmiarów plany—bodźcem. Fanatyzując Rossyę, już i tak skłonną do mistycyzmu, prowadzą ją na drogi, przed któremi car drżeć powinien.

Mimo reakcyi, nie można było rządowi raptownie i bez klęsk cofać się z drogi liberalizmu, gdy ten był koniecznym dla wzmocnienia własnych sił. Ztąd to wytworzyli się *liberały carscy*, fanatycy, najgorliwsi słudzy caratu i panującego kierunku. Oni to krzyżowali Polskę, podburzali przeciwko niej tłumy, schlebiali rządowi, maltretując szlachtę i duchowieństwo. Na czele tych carskich liberałów w Moskwie stał Katkow, i „Moskiewskie Wiadomości", a w Petersburgu Krajewski ze swym „Gołosem". Cała ta falanga carskich sług w zupełności odpowiada pruskim liberałom w służbie Bismarka. Tu i tam jedne motywa do wytworzenia się tej czerni, jedna i ta sama służalczość i sprzedajność, i jedna i ta sama korupcya, a co szczególna, że jedna i ta sama głęboka nienawiść i wstręt ludzi szlachetnych do tych zgraj, tak u Moskali, jak i Niemców, i co jeszcze szczególniejsza, że jedne i też same zrodził on objawy opozycyi w Berlinie i Frankfurcie, w Petersburgu i Moskwie, socyalizm.

Przekonano się już niejednokrotnie, że pozorne formy liberalizmu mogą być tak dobrą bronią w rękach tyrana, jak knut moskiewski, lub kij pruski. Obrzydzono sobie ten kierunek reform, wprowadzany przez zbirów, z władzą centralizacyjną, a na mniemaną korzyść państwa—i dla tego postawili tak Niemcy, jak i Moskale, ideę decentralizacyi, posuniętą do możliwego rozdrobnienia, i formę stosunków ludzkich, w którychby idea państwa odgrywała najmniejszą rolę.

Rok 1863 stworzył carski liberalizm w Rossyi, ale go również zaraz na poczekaniu zohydził i zabił w opinii. On to w imię donkiszoteryi liberalno-słowiańskiej wyprowadził carat i armie nad Dunaj, i tam powagę caratu i wpływ armii pogrzebał, pomimo czy Plewna zostanie zdobytą, lub nie, czy linja dolnego Łomu będzie przełamaną, lub nie, tego lub na przyszły rok! Faktem jest, że car, carat i carski liberalizm zostały skompromitowane. Liberali stali się niemożliwi, formy dotychczasowe rządzenia zużyte, wywołują pogardę, lub oburzenie.

Czy armia carska wróci z laurami, lub bez nich, zwycięska czy zwyciężona, to wszystko jedno, lecz to pewna, że dotychczasowy system caratu też sama armia utopiła w Dunaju.

Nikt dziś w Rossyi nie jest zadowolony i na nikim oprzeć się nie można. Partya dworska rozdzielona między ojcem i synem, czyli carem a następcą tronu. Rozkazy cara są wyśmiewane w kwaterze carewicza, jego rozporządzenia administracyjno-państwowe przekręcane umyślnie lub niewykonywane, przez stare sługi tylko w chęci podobania się przyszłemu panu, wschodzącej gwieździe.

Armia bez uroku, rząd bez powagi, żandarmi bezsilni skutkiem zbyt wielkiej liczby malkontentów, a carscy liberały zeszli w opinii wielu na nikczemników, lub zaprzedanych Bismarkowi i Niemcom ajentów. Kolos się chwieje i lada burza wewnątrz powalić go może! Oto co zrobił rok 1863. I nie dziw, iż klika waszych krakowskich panów, tak go zawzięcie przeklina i tak mu urąga. Marzenia ich o pomocy caratu przeciw liberalizmowi Europy — rozchwiane, marzenia ich przywrócenia i utrzymania za pomocą carskiej Rossyi błogich chwil panujących między r. 1815 a 48, rozchwiane, i nareszcie marzenia ich przez niewolę Polski skatolicyzmowania Rossyi, rozwiane... Przeklęty rok 1863! on to wszystko zrobił, krew polska przelana w tym roku odkupiła Rossyę — gotując dla niej i Polski nową erę. — Nic w naturze i dziejach nie ginie — jeżeli tylko praca podniesioną jest ku odrodzeniu...

Co to za era, zapytają mnie ciekawi, z drżeniem i obawą o przyszłość swą i przyszłość narodu. A czyż ja wiem, jakie burze przechodzić będzie musiała do swego przeobrażenia siedmdziesięcio milionowa masa ludzi, z których dziewięć dziesiątych ciemnych i zabobonnych! — To tylko wiem, że każdy Moskal od zagorzałego socyalisty — do umiarkowanego a uczciwego wyznawcy wolności, jest dziś zdania — że zmiana dotychczasowego systemu w Polsce jest pierwszą podstawą ich wewnętrznej wolności — ładu i spokoju... Jak również nie ma dziś Moskala—patryoty — a rzetelnie postępowych zasad — któryby nie życzył sobie i swemu narodowi — zagłady armii carskich nad Dunajem, albowiem już nauczono się tam rozróżniać rzeczy carskie, interesa carskie — i jego sług — czyli interesa despotyzmu, — od rzeczy i interesów narodowych, — co należy uważać za wielki objaw postępu na drodze odrodzenia narodu moskiewskiego.

W tej chwili przypomniała mi się korespondencya w *Czasie*, którego jeden z numerów miałem parę dni temu w rękach. Gdyż, powtarzam, że jego kontrabandę nie tak ostro prześladują — jak innych waszych dzienników — pewno z powodu spokoju, łagodności i powagi — a może za owę zajadłą zażartość z jaką ciska się na was biednych Lwowiaków za tę szczyptę liberalizmu i odwagi cywilnej, jaką ośmielacie się zdradzać. — Otóż korespondencya owa pochodząca z Warszawy, donosi o spotkaniu się korespondenta *Czasu* z kilku paniczykami rossyjskimi, którzy naprzód korespondentowi zadali szyku wykwintną toaletą, wyciętą jakby z ostatniego żurnala mód paryzkich — (a my Warszawiacy znamy się na tem). Następnie zaś, korespondent spiewa swe oburzenie, że ci tak eleganccy, o tak wykwintnych formach młodzi ludzie, mieli czelność głośno się przyznać do radości z pobicia armii carskich. — Radość tę nazywa cynizmem, posuniętym do ostatnich granic, socyalizmem i wyuzdanym nihilizmem. Korespondent przerażony jest podobnemi pojęciami światłych Moskali, rzucając na nich kamieniami za domniemywane wyzucie się z uczuć patryotycznych.

Ci sami młodzi ludzie mówili korespondentowi *Czasu*, że przegrana Rossyi w roku 1855 dała jej koleje żelazne, uwłaszczenie włościan i sądy przysięgłych. — Po przegranej w 1877 spodziewają się jeszcze większych korzyści dla swego narodu. Korespondent nazywa to zbrodnią przeciw patryotyzmowi. To wybornie, korespondent *Czasu* mówi o zbrodni przeciw patryozmowi? Chyba moskiewskiemu, bo przecież na własny rzucają kamieniami, tak redakcya *Czasu*, jak i jego korespondenci. — A w każdym razie nazywa zbrodnią wołającą o pomstę do Boga, nie mając wyrazu na odmalowanie

swej odrazy. — Zapytuję szanowne wasze pismo, co może mieć wspólnego patryotyzm moskiewski, opierający się na miłości, a mający za cel zapewnienia pomyślności swemu narodowi, która tylko przez rozszerzenie swobód dokonaną być może, co może mieć wspólnego patryotyzm moskiewski z carem i jego żołdakami, bijącymi się dla fantazyi cara, a raczej dla pokonania blaskiem sławy wewnętrznego wroga, za którego carat uważa i uważać zawsze będzie tenże sam patryotyzm szlachetnej i inteligentnej części narodu. — Patryotyzm moskiewski może mieć litość dla swych braci, marnie lejących krew, ale zwycięstwa życzyć im nie może, gdy ono w rezultacie przynosi narodowi sroższe jeszcze kajdany. — Czyż w wojnie tej idzie o byt państwa, czyż wróg wdziera się do jego granic, gotując narodowi niewolę, siejąc pożogę — nie i nie! — Czyż wojna ta prowadzoną jest w imię idei!? — Któż w nią wierzy, oprócz Aksakowa i kilku carskich panslawistów, równających się carskim liberałom. Więc co zwycięzka wojna przynieść może? — Nic i nic, prócz kajdan dla własnego narodu. — A duma narodowa, a sława i chwała armii, blask zwycięstwa — powaga i możność gróźb na zewnątrz?—zapyta korespondent *Czasu* i jego redakcya. Na takie kawały, mówiąc czysto po warszawsku, Moskale łapać się już nie dadzą. Wiedzą oni dobrze, że im większa powaga ich państwa na zewnątrz — to tem większy ucisk wewnątrz państwa. Wiedzą oni dobrze, że wszelkie groźby i pogróżki na zewnątrz odbywają się kosztem nędzy, upadku i ucisku wewnątrz. Nie łudzą się, rozumieją wybornie tę potęgę caratu na zewnątrz, starającą się zamrażać najpiękniejszy kwiat, pielęgnowany w sercu ludzkości, — wolność! Nie chcą tej potęgi, brzydzą się nią, rumienią się za nią wobec innych ludów, gardzą nią, i przeklinają ją. Uczucia te, zsumowane razem, nazywają patryotyzmem, który, przekonywamy się, jest różny nieco od pojęć o tymże samym patryotyźmie waszego *Czasu*. Oni nie chcą zwycięztwa armii caratu, systemu caratu, potęgi caratu, bo oni nie chcą więcej zaborów, nie chcą wkładać, pod pozorem *porządku i cywilizacyi*, kajdan carskich na sąsiedni lud i naród! I te pojęcia nazywa wasz dziennik *cynizmem i zbrodnią*. Ciekawy jestem jak nazywa wezwanie wojsk moskiewskich do Polski, aby te unormowały porządek, i jak nazywa wkroczenie z wojskami caratu, aby ostatecznie dobić i rozebrać Polskę, pewno *patryotyzmem*. I jestem najmoralniej przekonany z tego, co widziałem, słyszałem i czytałem niedawno na własne oczy i z tego, co mnie czas od czasu dochodzi przez kotrabandę, że tak jest niestety. Dawniej ludzie na wyraz *Targowicy* bledli z upokorzenia i wstydu, dziś są tacy, którzy tryumfują!

Nie dość na tem, dziś czelność i zuchwalstwo koteryi doszło do tego stopnia, że gdyby były wypadkiem tak sprzyjające okoliczności, że możnaby było sprowadzić jeszcze raz wojska obce, dla przytłumienia prac postępu i wolności w narodzie, nie wahaliby się uczynić tego ci, którzy bezczelnie ciskają kamieniami na ludzi pracy, a apoteozują Jezuitów i ich system.

(C. d. n.)

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ IX

W którym kapitan Servadac stawi cały szereg zapytań, pozostających bez odpowiedzi.

Hektor Servadac wybiegł z posterunku i popędził na szczyt skał nadmorskich.

Nie było wątpliwości: przed wyspą znajdował się okręt w odległości około dziesięciu kilometrów od wybrzeża; ale ponieważ teraźniejsza wypukłość ziemi skracała promień wzroku, więc można było dostrzedz tylko szczyty masztów ponad falami.

Wszakże chociaż tułów okrętu nie był widzialny, to co można było dostrzedz z jego masztowania pozwalało wnioskować do jakiego rodzaju statków należał. Widocznie była to galjota; zresztą we dwie godziny po zasygnalizowaniu jej przez Ben-Zufa stanowczo można było rozpoznać ją.

Kapitan Servadac, z perspektywą przy oku, nie przestawał wpatrywać się.

— *Dobryna!* — zawołał.

— *Dobryna?* — odrzekł Ben-Zuf. — To nie może być cna! Nie widać dymu.

— Płynie pod żaglami, — odrzekł kapitan Servadac; — niezawodnie jest to galiota hrabiego.

W samej rzeczy była to *Dobryna* i jeżeli hrabia znajdował się na jej pokładzie, to w takim razie najszczególniej traf znowu sprowadzał go oko w oko z przeciwnikiem.

Ma się rozumieć, że kapitan Servadac w tym, którego galiota sprowadzała na wyspę, widział tylko człowieka i że ani na chwilę nie pomyślał o pojedynku, ułożonym między nim a hrabią, ani o powodach do niego. Okoliczności były tak zmienione, iż czuł tylko największą chęć zobaczenia się z hrabią i rozmówienia o tylu nadzwyczajnych wypadkach. W samej rzeczy *Dobryna* podczas dwudziestu siedmiu dni nieobecności mogła rozpoznać sąsiednie brzegi Algieryi, może dotrzeć aż do Hiszpani, Włoch, Francyi, przepłynąć owo Śródziemne morze, tak dziwnie zmienione i co zatem idzie, musiała przywozić wiadomości ze wszystkich tych miejscowości, od których Gurbi była obecnie oddzielona. Hektor Servadac mógł zatem dowiedzieć się jakiej donosności była katastrofa, a także co ją wywołało. Oprócz tego hrabia był człowiekiem bardzo ugrzecznionym i pewno poczyta za swój obowiązek odwiezienie go wraz z ordynansem do ojczyzny.

— Ale dokąd galiota przybije, powiedział Ben-Zuf, kiedy zatoka Chelifu nie istnieje?

— Nie przybije, — odrzekł kapitan, hrabia wyszle łódkę do lądu i popłyniemy nią.

Dobryna przybliżała się, ale bardzo powoli, gdyż miała wiatr przeciwny i musiała lawirować. Zastanowiało to nawet, że nie korzystała ze swej maszyny, gdy na pokładzie jej musiało być pilno załodze poznać, co to za nowa wyspa ukazuje się na horyzoncie. Zresztą możebnem było, iż zabrakło paliwa i *Dobryna* zmuszona była posługiwać się tylko żaglami.

Na szczęście, chociaż na niebie znowu ukazały się gdzie niegdzie chmury, noc była pogodna i piękna, wiatr niezbyt ostry, morze dość spokojne i galiota, nie bardzo kołysana falami, przybliżała się.

Hektor Servadac nie wątpił ani na chwilę, że *Dobryna* będzie się starać przybić do lądu. Hrabia musiał bardzo się zdumieć. Tam gdzie sądził, iż znajdzie stały ląd afrykański, dostrzegał tylko wyspę. Czyż nie mógł w każdym razie obawiać się, iż nie znajdzie żadnego schronienia na tym nowym wybrzeżu i nie będzie tam mógł wypocząć? Być może, iż kapitan Servadac dobrze zrobiłby wyszukawszy jakiś punkt dla przybicia do brzegu, w razie gdyby galiota wahała się przybliżyć; a znalazłszy takowy, wskazać go sygnałami.

Wkrótce było widocznem, że *Dobryna* zmierzała ku dawniejszej zatoce Chelifu. Więc kapitan Servadac szybko powziął postanowienie. Zefir i Galeta zostały osiodłane i jezdcy, dosiadłszy ich, puścili się ku zachodniemu brzegowi wyspy.

We dwadzieścia minut potem oficer sztabu głównego i jego ordynans zsiedli z koni i poczęli rozglądać tę część wybrzeża.

Hektor Servadac rychło zauważył, że na zagięciu cypla i osłonięta nim, znajdowała się mała zatoka, w której statek średnich rozmiarów mógł znaleźć bezpieczne schronienie. Zatoka ta oddzielona była od morza szeregiem wielkich skał, wśród których znajdował się tylko wązki kanał. Nawet podczas burzy woda musiała być w tem miejscu spokojną. Kapitan Servadac, rozglądając te skały, zdziwił się, dostrzegłszy na nich ślady wysokiego bardzo przypływu morza, wyraźnie oznaczone długiemi wiszarami trawy morskiej.

— A! zawołał, więc teraz bywa prawdziwy przypływ i odpływ na morzu Śródziemnem!

Widocznem to było — i na znacznej wysokości. A była to jedna szczególność więcej, dodana do tylu innych; dotąd bowiem przypływy i odpływy bywały prawie żadne na morzu Śródziemnem.

W każdym razie można było zauważyć, że od czasu najwyższego przypływu, spowodowanego zapewne bliskością owego ogromnego kręgu, w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia, fenomen ciągle się zmniejszał i obecnie sprowadzony był do skromnych rozmiarów, jak przed katastrofą.

Ale zrobiwszy tę uwagę, kapitan Servadac zajął się wyłącznie *Dobryną*.

Galiota znajdowała się teraz nie dalej, jak w odległości dwóch lub trzech kilometrów. Sygnały, które jej robiono, nie mogły nie być zauważane. Bo w samej rzeczy zmieniła lekko kierunek i poczęła zwijać górne swe żagle. Nakoniec opłynęła przylądek i manewrując ku kanałowi, który oficer głównego sztabu wskazywał ręką, śmiało tam wpłynęła. W kilka minut potem kotwica jej pruła piasek zatoki, spuszczono łódź na wodę i hrabia wylądował na wybrzeże.

Kapitan Servadac podbiegł ku niemu.

— Panie hrabio, zawołał, przedewszystkiem co się stało!

Hrabia, człowiek zimny, którego niewzruszona spokojność była w szczególnej sprzeczności z żywością oficera francuskiego, lekko się ukłonił i odrzekł:

— Kapitanie, przedewszystkiem pozwól mi pan oświadczyć, że nie liczyłem na zaszczyt spotkania go tu. Opuściłem pana na kontynencie, a znajduję na wyspie!..

— A nie ruszałem się z miejsca, panie hrabio!

— Wiem o tem, kapitanie, i proszę byś mię miał za wytłómaczonego, żem się nie stawił na umówionem miejscu, ale...

— O! panie hrabio! — odparł żywo kapitan Servadac, pomówimy o tem później, jeżeli pan pozwolisz.

— Zawsze jestem na jego rozkazy.

— A ja na pańskie. Pozwól mi pan tylko powtórzyć zapytanie. Co się stało?

— Właśnie chciałem o to pytać, kapitanie.

— Jakto? — pan nic nie wiesz?

— Nic.

— I nie możesz mi pan powiedzieć, wskutek jakiego kataklizmu ta część afrykańskiego kontynentu przemieniła się w wyspę?

— Nie mogę.

— Ani jak daleko rozpostarły się skutki katastrofy?

— Wiem tyle co i pan, kapitanie.

— Ależ przynajmniej możesz mi pan powiedzieć, czy na północnem wybrzeżu morza Śródziemnego..

— Czy tylko Śródziemne... — rzekł hrabia, przerywając kapitanowi Servadac tem szczególnem zapytaniem.

— Pan musisz wiedzieć o tem lepiej niż ja, ponieważ przepływałeś je.

— Ja go nie przepływałem.

— Nie przybijałeś pan do żadnego punktu na wybrzeżu?

— Nawet nie widziałem żadnej ziemi.

Oficer sztabu głównego popatrzył na hrabiego jak człowiek kompletnie zdumiony.

— Ależ przynajmniej, panie hrabio, powiedział, zauważyłeś pan, że od 1 stycznia wschód zajął miejsce zachodu?

— Tak jest.

— Że dzień trwa teraz tylko sześć godzin?

— W samej rzeczy.

— Że naprężenie ciężkości zmniejszyło się?

— Niezawodnie.

— Że utraciliśmy nasz księżyc?

— Najzupełniej.

— Że tylko cośmy nie potrącili o Wenus?

— Tak jest.

— I że zatem ruch obrotowy globu ziemskiego zmienił się.

— Nic pewniejszego.

— Panie hrabio, — rzekł kapitan Servadac, wybacz pan mojemu zdziwieniu. Wiedziałem dobrze, że nie zdołam powiedzieć panu nic nowego; ale liczyłem wiele na to, że czegoś dowiem się od pana.

— Nic więcej niewiem, kapitanie, — odrzekł hzabia, — wyjąwszy, że wnocy z 31 grudnia na 1 stycznia płynąłem morzem na nasze spotkanie, gdy galiota moja została przez ogromną falę podniesiona na wysokość nie dającą się obliczyć. Zdawało się nam, że żywioły są wzruszone jakimś fenomenem kosmicznym, którego przyczyna nie wiadoma. Od tej pory błąkaliśmy się, pozbawieni usług naszej maszyny, która została nieco uszkodzona, i na łasce straszliwego wichru, trwającego przez kilka dni. To cud, że *Dobryna* wytrzymała; a przypisuję to okoliczności, że zajmując środkowy punkt przestrzeni, gdzie wicher szalał, bardzo mało zmieniła miejsce pod działaniem żywiołów. To też nie widzieliśmy żadnej ziemi i pańska wyspa jest pierwsza, którą poznaliśmy.

— Ale w takim razie, panie hrabio, — zawołał kapitan Servadac, — trzeba powrócić na morze Śródziemne, zbadać je, przekonać się, jak daleko kataklizm rozpostarł swe klęski.

— I ja jestem tego zdania.

— Czy dasz mi pan miejsce na swym pokładzie, panie hrabio?

— Chętnie, kapitanie, nawet dla odbycia podróży wokoło świata, jeżeli to będzie potrzebne dla naszych poszukiwań.

— O! wystarczy podróż po morzu Śródziemnem!

— A kto nam dowiedzie, — odrzekł hrabia, potrząsając głową, że podróż po morzu Śródziemnem nie będzie podróżą na około świata.

Kapitan Servadac nie odpowiedział nic i zamyślił się.

Nie pozostawało jednak nic innego do zrobienia, jak tylko rozpoznać, lub raczej poszukać, co jeszcze pozostało z wybrzeża afrykańskiego, zasięgnąć w Algierze wiadomości o reszcie zamieszkałego świata, potem, jeżeli ten południowy brzeg Śródziemnego morza znikł zupełnie, powrócić na północ, ażeby wejść w stosunki z nadbrzeżną ludnością Europy.

W każdym razie należało zaczekać aż uszkodzenia maszyny *Dobryny* zostaną naprawione. Kilkanaście rur, umieszczonych wewnątrz jej kotła, pękło i woda lała się na ognisko. Niemożna więc było palić, dopóki to się nie poprawi. Co do podróży przy pomocy żaglów, to byłaby ona zarazem powolną i trudną, w razie wzburzonego morza i przeciwnych wiatrów. Owoż ponieważ *Dobryna*, przygotowana do długiej żeglugi na Wschodzie, miała jeszcze węgla na dwa miesiące, więc lepiej było użyć tego paliwa w szybkiej podróży, licząc na to, że zapas da się odnowić w pierwszym lepszym porcie.

Pod tym względem zatem nie było co wahać się.

Na szczęście uszkodzenia mogły być prędko naprawione. Na składzie w galiocie znajdowało się podostatkiem rur na zmianę, one więc zastąpiły dawne, już teraz nieprzydatne. We trzy dni po przybyciu do Gurbi kocioł *Dobryny* mógł już funkcyonować.

Podczas pobytu na wyspie, Hektor Servadac opowiedział hrabiemu, jakie zrobił spostrzeżenia w swej szczupłej posiadłości. Oba konno objechali nową linię brzegową, a po obejrzeniu jej mieli już tylko na myśli szukanie zewnątrz przyczyny tego wszystkiego, co zaszło w tej części Afryki.

Dnia 31 stycznia galiota była gotową do odpłynięcia. Żadna nowa zmiana nie zaszła w świecie słonecznym. Tylko termometry poczęły wskazywać lekkie zniżenie temperatury, nader wysokiej w ciągu miesiąca. Czy należało z tego wnioskować, że ruch kuli ziemskiej dokoła słońca odbywał się po krzywiźnie nowej orbity? O tem nie można było decydować przed upływem kilku dni.

Co do pogody, to ta była niezmiennie piękną, pomimo że nowe mgły gromadziły się na widnokręgu i wywoływały pewne zniżenie w kolumnie barometrycznej. Ale nie było to dostatecznym powodem dla wstrzymania odpłynięcia *Dobryny*.

Pozostawało do rozwiązania pytanie, czy Ben-Zuf ma towarzyszyć swemu kapitanowi. Jeden powód, wśród wielu innych dość ważnych, zniewalał do pozostawienia go na wyspie. Nie można było umieścić na galiocie dwóch koni, ponieważ statek ten nie był przysposobiony do tego, a Ben-Zuf za nic nie rozstałby się z Zefirem i Galetą — zwłaszcza z tą ostatnią. Zresztą dopilnowanie nowej posiadłości, możebność, że wylądują na niej jacy obcy, doglądanie pewnej części trzody, której nie należało pozostawiać samej sobie na niedopuszczalny wypadek, iż stanie się ona jedynym środkiem utrzymania życia i t. d. te rozliczne powody zniewoliły ordynansa do pozostania i kapitan Servadac przystał na to, chociaż z żalem. A przytem, poczciwemu żołnierzowi nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, gdy pozostanie na wyspie. Po rozpoznaniu nowego stanu rzeczy, można będzie zajechać po Ben-Zufa i odwieźć go do ojczyzny.

Dnia 31 stycznia Ben-Zuf, nieco wzruszony, jak sam przyznawał, i „mając sobie nadaną wszelką władzę „gubernatora,“ pożegnał się z kapitanem Servadac. Zalecił mu przytem, w razie gdyby dotarł aż do Montmartre, by zobaczył czy „góra“ nie została usunięta z miejsca przez jaki fenomen

Wkrótce *Dobryna* wypłynąwszy z małej zatoki przy działaniu swej śruby żeglowała po otwartem morzu. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(„Ateny“ przez Wojciecha Dzieduszyckiego. Lwów 1878, nakładem księgarni Wł. Belzy. 8ka str. VII. — 304.)

Kilka tygodni temu pokazała się na półkach księgarskich pod powyższym tak ponętnym, tak mile brzmiącym tytułem. *Ateny!* — kogoż imię to nie wzruszy, komuż na mocy najprostszej w świecie asocyacyi wyobrażeń nie wzbudzi odrazu w umyśle czarującego obrazu tej maluczkiej rzeczypospolitej, która więcej miejsca zajęła na karcie dziejów cywilizacyi, niż wszystkie społem wzięte a rozmiarami olbrzymie mocarstwa, która podczas efemerycznego swego istnienia więcej i większych wydała ludzi, niż cała Europa z przyległościami, stanowiącemi odrębne części świata. I dziwna potęga tego imienia, dziwna jego moc, że i dzisiaj tak silnie działa ono na nas, pomimo, że już od lat tylu teraźniejsi mieszkańce Attyki, nie znajdujący się w żadnym stopniu pokrewieństwa, nie mający nawet wspólności etnicznej (?) z bohaterami starożytnej Hellady, usilują, jakby starają się wszelkiemi siłami zatrzeć w nas to wszystko święte, szczytne i wyniosłe, co imię to samem swem brzmieniem budzi w nas i budzić powinno. Jakże bo też często w rubryce telegramów dzienników politycznych czytamy wyraz Ateny i wraz za niem doniesienie o meskineryach rzekomej parlamentarnej walki jakiegoś Komundurosa z jakimś Trikupisem, jakiegoś Zaimisa z jakimś Deligeorgisem, lub o symonii Bulgarysa i o wyrokach sądowych wydanych na niego i na inne świeczniki nowoczesnej Attyki za publiczne zbrodnie. A jednakże mimo to wszystko, mimo takie szarganie tego wielkiego imienia, a splamienie tylu pospolitemi zbrodniami tej świętej ziemi; mimo to nawet, że nowożytna Grecya w niczem jeszcze nie dała dowodu, iż dorosła do europejskiej cywilizacyi; mimo to jednak gdy mowa o Atenach każdy z nas na samo brzmienie tego wyrazu odczuwa dreszcz miły, będący nieświadomym przejawem nieugaszonego nigdy pragnienia poznania jak najbardziej, jak najbliżej, jak najdokładniej tej wielkiej świątnicy nauk i sztuki, tej świętej kolebki cywilizacyi.

Przejęci tem samem uczuciem, porwaliśmy z zapałem dzieło p. Dzieduszyckiego, będąc pewni, że mówi on o *tamtych* a nie o *tych* Atenach, o Atenach wielkich, republikańskich, w których królował lud na Akropolu, a nie o Atenach małych królewskich, w których Georgios listę cywilną pobiera i wczasu używa. Porwaliśmy je i przeczytaliśmy niemal jednym tchem. A jednak mimo to nie zdaliśmy natychmiast sprawy czytelnikom naszym z odniesionych wrażeń. Z postępku tego winniśmy się usprawiedliwić, w obawie aby nas czytelnicy nie posądzili o lekceważenie naszego obowiązku, a autor o lekceważenie jego pracy. Tak wcale nie jest. Nie zdaliśmy natychmiast sprawy, bośmy się obawiali własnego naszego sądu, wprost baliśmy się przecenienia. Ochłonąwszy więc z pierwszego wra-

*

żenia, wzięliśmy książkę ponownie do ręki, i przeczytaliśmy ją po raz drugi, i teraz czujemy się już na siłach do wystąpienia ze sprawozdaniem.

Jakto ze sprawozdaniem? zapyta zdumiony czytelnik. Tak jest, ze sprawozdaniem, ani mniej ani więcej. Na krytykę nas nie stać; ofiarujemy przeto recenzyą. Zresztą, gotowiśmy nawet utrzymywać, że praca taka jak p. D. krytykowaną być nie może. Rzecz bowiem prosta, — krytyka powinna się stosować do utworu. Jeżeli utwor jest dziełem naukowem, krytyka powinna być naukową, jeżeli zaś jest dziełem piękna, produktem fantazyi, krytyka powinna być estetyczną. W pierwszym razie rzecz będzie badała ze stanowiska wykrytych prawd nauki, w drugim zaś ze stanowiska świadomych i ustalonych praw piękna. I w obu razach będzie miała zadanie łatwe, a przynajmniej proste. Ale jakże ma ona sobie postąpić z utworem, w którym nauka kojarzy się z fantazyą, w którym głęboka erudycya, wiedza szeroka i gruntowna sprzęga się z poetyckim polotem i tworzy z nim całość tak harmonijną, tak jednolitą i tak ścisłą, że najbystrzejszy czytelnik nigdy nie jest w stanie stanowczo orzec, gdzie się erudycya kończy a poczyna się fantazya, gdzie autor porzuca pole uczonego hellenisty i staje się poetą? A właśnie takim utworem jest praca p. Dzieduszyckiego. Złożyły się na nią dwa czynniki w równej mierze i w równej sile: głęboka erudycya i bogata fantazya, induktywne zgromadzenie całego zasobu suchych materyałów naukowych i śmiało z nich wyprowadzona dedukcya, żywa, barwna i plastyczna. Autor ukochał Attykę i Ateny, lecz nie tak jak my wszyscy je kochamy, ale żywiej, czulej, goręcej, tak jak się kocha zmarłą kochankę. Zgromadził więc wszystką spuściznę po niej, rozproszoną po świecie, nie pominął ani jednego szczegółu, ani jednej relikwii, wszystkie je zebrał i zestawił społem. Wtedy w ten gorąco przez niego ukochany erudycyjny kompleks tchnął życiem, a pod namiętnem tchnieniem fantazyi wśród zimnych archeologicznych zabytków, poczęły krążyć żywotne soki, kompleks począł się ożywiać i z duchowej treści słowa stał się plastycznem ciałem. Biblijne to porównanie nie mimowolnie przyszło nam na myśl. Była tu bowiem istotnie praca twórcza, kreacya w całem tego słowa znaczeniu. Słowo wiedzy i erudycyi stało się rzeczywiście na mocy twórczości ciałem przedziwnie pięknych, przedziwnie plastycznych obrazów. Obrazów tych daje nam autor kilka. W nich erudyta, zimny archeolog, dopatrzył by naturalnie tu i ówdzie parę niedokładności, parę błędów lub niczem nieuzasadnionych i za nadto śmiałych hipotez. My sami natrafiliśmy w kilku miejscach na drobne usterki; kompetentniejsi od nas znaleźliby więcej usterków takich. Za to znowu w paru innych obrazach krytyk estetyczny mógłby zarzucić autorowi, że zanadto bawił się w archeologią, zanadto spinał cugle swej fantazyi i kosztem piękna bywał dokładny. Ale rzecz prosta, że zarzuty tak jednego jak i drugiego grzeszyłyby jednostronnością. Pierwszemu odparłby autor, że nie miał zamiaru pisania suchej monografii archeologicznej; drugiemu, że nie myślał tworzyć fantastycznych obrazów. Trzymał się, o ile można, jak najwierniej źródeł, podań i zabytków, a gdzie te mu nie wystarczały, tam dopełniał fantazyą.

Weźmy przykład. W rozdziale „miasto i ludzie", jednym z najpiękniejszych i najlepiej pomyślanych, w którym autor roztacza przed czytelnikiem olbrzymie bogactwo erudycyi i fanfazyi; w rozdziale tym, przeprowadzonym od początku do końca z jednakową miarą i siłą, autor oprowadziwszy czytelnika po całych Atenach i pokazawszy mu wszystko godne widzenia, wprowadza go wreszcie do Odeonu, na starożytny koncert. „Za wstęp zapłacimy pewnie — powiada autor — i znajdziemy się w wielkiej, akustycznie zbudowanej okrągłej, w ostrołuk sklepionej sali, w której kilkaset osób obojej płci zasiadło na krzesłach ustawionych do koła amfiteatralnie. Oczy ich zwrócone ku środkowi, gdzie stoi mąż brodaty w długim płaszczu, przy okrągłym, małym, smukłym ołtarzyku. Na ołtarzyku płonie ogień, a mąż ów rzuca doń garść kadzidła. To ołtarz Muz, bogiń pieśni, a ów mąż to poeta, co szuka w nich natchnienia. Mąż ten ma lirę o siedmiu strunach w ręku. Do koła niego stoją różne inne instrumenta o kształtach dziwnych. Przy ołtarzu stoją posągi muz, a dokoła amfiteatru widać wśród jońskich i korynckich kolumn posągi sławnych poetów i muzyków. Poeta bije w struny i zaczyna mówić, a raczej spiewać. Nuta którą gra, miękka, a pieśń opiewa radość żywota. O ucztach prawi poeta i o weselu, o miłości i o pocałunkach. Gdy przestanie na poły spiewać, a na poły deklamować, młodzieniec nagi, który stoi obok, wtrąca w tok przedstawienia miękkie nuty fletu, które towarzyszą strunom liry. Muzyka miękka lecz głośna, wzrusza w sposób miły i rozkoszny Kobiety słuchają z uwagą pieśni, a rumieńce występują na lica młodzieńców i krew wszystkim ciepło płynie po żyłach. Była to muzyka eolska, a pieśń spiewano miarą, którą zwykle zwano saficzną."

Był to tedy według naszej nomenklatury koncertowej pierwszy numer programu tego starożytnego koncertu. Po skończeniu tego numeru nastąpiły brawa i radośne okrzyki na cześć spiewaka, poczem przystąpiono do drugiego numeru. „Dziewice wystąpiły w środek wraz z młodzieżą męzką. Poetka, piękna i młoda, siadła przy instrumencie klawiszowym o dwudziestu kilku strunach. Sama zaczęła powoli smutną przegrywkę, a towarzyszono jej na fletach i organach. Muzyka rzewna przeszywała serca i głośnym płaczem tonów napełniała Odeon cały. Głosy wielu instrumentów bratały się w łzawe wołania, a dziewice i młodzieńcy załamywali sobie ręce rytmicznie i pięknie. Dziewice ubrane były w długie białe szaty, młodzieńcy byli nadzy. Wtem muzyka ucichła na chwilę, poetka zerwała się z miejsca, drgające wyciągnęła ramiona, i głośno a namiętnie poczęła narzekać i opowiadać o własnych nieszczęściach. Wspominała drżenia serca i żale, a wszyscy słuchacze skargę tę odczuwali we własnej piersi. Do taktu rytmicznych słów, których przerwy wypełniały głośne wybuchy muzyki, poruszały się tanecznice jakby w rozpaczy. Tancerze rzucali się na ziemię i wstawali w boleści, a muzyka naśladowała jęki bolejącej duszy, ruchy i wyraz twarzy taneczników wyrażały to samo a publiczność zasępiała się tym smutkiem. Spiew to był i muzyka to była jońska".

Tak się skończył drugi numer programu koncertowego, a ponieważ poetka, która go wykonała, była artystką znakomitą, potężnie władała mową, miała głos cudny i dykcyą wyraźną, a nadto była piękną, przeto oklaskom i pochwalnym okrzykom końca nie było. Dodać do tego jeszcze należy, że i jońska muzyka była jednym z tych siedmiu trybów greckich, które najbardziej były w guście ludu. U Greków przyjęta była zasada, że każda kategorya uczuć innym trybem wyrażać się powinna. W eolskim, który był identyczny z naszą minorową gammą, wyrażano tęsknotę, żale i cierpienia; w jońskim wdzięk i gracyą a nadto zawody miłosne; w frygijskim zapał i entuzyazm; w lidyjskim szał bachusowy w doryjskim powagę majestatyczną.*) Dla urozmaicenia odeońskich koncertów i zapobieżenia monotonności układano program z kilku trybów. Owoż pan Dzieduszycki zaprowadził nas na jeden z takich najlepiej pod względem programu urozmaiconych koncertów. Mieliśmy na początku próbkę muzyki eolskiej, następnie produkcyą w stylu jońskim, a oto teraz przychodzi trzeci numer koncertu, wykonany w trybie doryckim.

„Jeden ze złotej młodzieży wchodzi w środek sali z wieńcem oliwkowym na skroni i w płaszczu migającym od złota. Gdy się okazał, głośny okrzyk go przywitał, a on pokłonił się widzom. Pierwszy archont doroczny a najznaczniejszy urzędnik miasta zestąpił z marmurowego krzesła ustawionego na czarnem miejscu w Odeonie. Archont ów, mąż z ludu, niesie w ręku złoty wieniec dębowy. Garść pięknej nagiej młodzieży męskiej staje dokoła owego młodzieńca, którego przywitano okrzykiem, a siwy poeta o pięknej greckiej natchnionej twarzy staje w długim płaszczu z wielką cytarą w ręku przy ołtarzu i kadzidło rzuca do ognia. Zda się okiem szuka natchnienia. Ów młodzieniec, na którego wszystkich oczy zwrócone, ów młodzieniec w oliwkowym wieńcu to jeden z najbogatszych możnowładzców ateńskich i wielki hodowca koni. Rumaki jego wygrały wielki bieg w Olimpii i Ateńczycy pragną go uczcić za zwycięztwo koni. Archont wśród okrzyków radości kładzie mu wieniec na skronie. Młodzież wieniec ten podnosi po nad jego głowę i zaczyna powoli tan kolisty, a poeta przy towarzyszeniu cytary górnie przemawia. Słowa jego wymawiane z lekka po dorycku brzmią pełnemi tonami. To pochwała zwycięzcy i przodków jego, obraz wspaniałej przeszłości narysowany kilku potężnemi słowami. Widzisz świat boski i świat ludzki w świętą harmonię związany. Dźwięk po dźwięku bije metalicznie i jędrnie ze strun i tuż za pochwałą pędzi przestroga męska. To muzyka dorycka. Gdy poeta skończył nie było końca oklaskom. Opiewany młodzieniec poetę i widzów na ucztę do siebie zaprosił".

I my chętnie pospieszylibyśmy w gronie widzów pod przewodnictwem p. Dzieduszyckiego na tę ucztę i pragnęlibyśmy poznać, jak się bawi młodzież atycka, a następnie jak żyje w domu w gronie rodziny, lub jak na Akropolu spełnia swe obywatelskie obowiązki; i wierzymy, że czytelnik chętnie podążyłby za nami w tej przyjemnej wędrówce; ale ciasne ramy artykułu recenzyjnego nie pozwalają nam przedrukowywać dzieła, o którem tylko sprawę zdać musimy.

Jednakże chętnie korzystamy z przytoczonego powyżej cytatu. Daje on bowiem czytelnikowi próbkę i stylu autora i formy obranej przez niego. A nadto usprawiedliwia nasze twierdzenie, że pracy p. Dzieduszyckiego krytykować i rozbierać właściwie niepodobna. Względem niej można się tylko dogmatycznie zachować. Jakiejże bowiem krytyce poddać ten tak cudownie piękny obraz odeońskiego koncertu? Niezaprzeczenie, że archeolog znalazłby szczegóły, któreby uważał za właściwe sprostować. Zarzuciłby naprzykład, że za owych czasów Grecy używali jeszcze heptakordów Terpandra i że przeto „instrumenta klawiszowe" (?) o dwudziestu kilku „strunach" nie były im jeszcze znane, a tem mniej organy. Ale czyż ta tak drobna niedokładność nie jest okupiona nieskończenie bogatą fantazyą, która z kilku archeologicznych szczegółów, z kilku suchych ustępów w klasykach greckich zdołała odsłonić przed nami tak piękny, tak pełen życia i właściwego kolorytu obraz starożytnego koncertu? Dla nas okupuje ona sowicie, bijemy też przed nią czołem i przyjmujemy bez restrykcyi, że *tak* albo *prawie tak* działo się na muzykalnych uroczystościach w Odeonie.

Takich obrazów, jak ta śmiała hipoteza o koncercie, znajdujemy w dziele p. Dzieduszyckiego bez liku. Wiją się one jedne za drugiemi i odsłaniają przed czytelnikiem rozmaite strony życia Ateńczyków, plastycznie przedstawiają religię, obyczaje, prawodawstwo, ustrój społeczny i polityczny. Autor widocznie nawet jak najstaranniej unikał suchych teoretycznych wywodów, a gdzie już stanowczo pominąć ich nie mógł, tam po ich wyłuszczeniu, dawał natychmiast jakiś praktyczny obrazek, służący jako najlepszy komentarz. I tak np. w rozdziale, w którym omawia ustrój państwowy Aten z wieku Peryklesa, po krótkim oderwanym wywodzie o prawodawstwie, po pobieżnem opisaniu głównych jego postulatów, obdarza nas szeregiem prześlicznych obrazów, w których na praktyce widzimy skutki tych formuł prawnych. Prowadzi nas np. przed sąd Heliastów i każe być świadkami procesu o zdradę stanu. Albo znowu opisuje przebieg procesów w sprawach, czy to cywilnych, czy karnych, uwydatniając w praktyce różnicę tych spraw, lubo w teoryi nie istniała ona za Greków.

Ale bo też znakomicie jest obmyślany plan całego dzieła. Autor odsłania przed nami Ateny w trzech momentach ich dziejowego istnienia: naprzód w epoce powstawania; następnie w epoce najwyższego rozkwitu (i nad tą rozszerza się najbardziej); i wreszcie w dzisiejszej epoce, w epoce ruin. Opowiadanie zaś swoje poprzedza opisem ziemi, klimatu, otoczenia geograficznego, oznajamia czytelnika z mitologią Greków, a raz wkroczywszy „w złoty las bajek greckich" błądzi w nim ochoczo i przytem tak zręcznie, że chociaż tłómaczy niemal każdy myt grecki, zdejmuje z niego fantastyczną szatę i wykazuje, iż pod tą symboliczną osłoną jest ukryta jakaś głęboka prawda życiowa, to przecież operacyę tę wykonywa z taką prestidigitatorską wprawą, że czytelnik wcale jej nie dostrzega, słucha bajek, fantastycznością ich bawi się a z prawdy korzysta. Niektórzy uczeni tłómacząc i komentując mitologie ludów, umieją tak manipulować z bajeczkami temi, że czytelnik nigdy do samych bajek przywiązać się nie może. Zimny racyonalizm tych uczonych zwiewa puszystą osłonę fantazyi z empirycznej prawdy ukrytej w symbolu i pozostaje tylko niepotrzebne *accoutrement*, do którego naturalnie ża-

*) Patrz 5 tom „Bibl. Um. Przyrodniczych" Ludwika Masłowskiego; Laugela: „Głos, Echo i Muzyka".

dnego uczucia żywić niepodobna. Natomiast p. D. ma zupełnie inną metodę, tę samą właśnie co Max-Muller. Jest on racyonalny, ale racyonalizm jego nie zabija w nim poczucia piękna, przeciwnie wspiera je. Kocha on przeto te bajki, a ponieważ kocha, więc manipuluje z niemi tak, że i czytelnik nabiera do nich przywiązania; a chociaż ostatecznie symboliczna osłona musi pęknąć i prawdę życiową odkryć, to przez to jednak bajka nic na tem nie traci, a prawda bodaj nawet czy nie zyskuje. Staje się, powiedziałbym, bardziej ponętną, piękniejszą, niemal prawdziwą.

Opisawszy Olimp, wprowadza nas autor w świeckie Ateny i tutaj w obrazach pełnych życia i fantastycznej prawdy odsłania nam naprzód mieszkańców Atyki przed pierwszą wojną perską, a następnie za wieku Peryklesa. Ta część dzieła, stanowiąca zresztą główny jego korpus, jest najpiękniejsza i *con amore* przez autora traktowaną. Ile tam piękna, ile życia, jakie bogactwo fantazyi i jaki koloryt cudny, czytelnik ocenić może z tego obrazka koncertu odeońskiego, który przytoczyliśmy powyżej. Więc cytować nie możemy, zresztą to nawet dobrze, że nie możemy; bo inaczej bylibyśmy całe dzieło przepisali. Wybór tu jest niemożebny, tak wszystkie obrazy są utrzymane w jednym tonie, tak wszystkie są przedziwnie piękne. Zamiast je segregować, bylibyśmy chyba zmuszeni postąpić tak, jak pewien amator, który na zapytanie jaki obraz chciałby mieć z galeryi Luwru, odpowiedział: wszystkie.

W obrazach tych przeprowadza autor całe życie ówczesnych Ateńczyków. Przywiózłszy czytelnika na statku ateńskim do portu Pireus, każe mu chwilowo zatrzymać się w gospodzie, następnie wiedzie go do Aten, oprowadza po ulicach, i na Agorę czyli rynek ateński, pokazuje mu sklepy i handle, wiedzie na Akropolę, do gimnazyum, na Pnyks, gdzie mu każe być świadkiem politycznego procesu; wreszcie zaprowadza go do prywatnego domu, na dwór zamożnego agnata ateńskiego, i każe mu być gościem Ateńczyka, mieszkać u niego, jadać z nim, sypiać w jego domu, brać udział w jego ucztach, przypatrywać się jego zatrudnieniom codziennym, jakoteż trybowi życia wszystkich jego domowników, jego żony, jego synów, córek i niewolników. Odbywszy tę wędrówkę, czytelnik tak dobrze zna Ateny, jak gdyby w nich był rzeczywiście, zżył się z Hellenami, zbadał ich ducha, przejął się ich obyczajami, poznał ich do gruntu i pokochał. Bo to jest właśnie charakterystyczną stroną pióra p. Dzieduszyckiego, że umie tak traktować przedmiot opracowywany, iż niepodobna nie nabrać i do przedmiotu i do autora najżywszej sympatyi.

W ostatnim wreszcie rozdziale opisuje autor teraźniejsze ruiny Aten.

Jeden z recenzentów, opisawszy pracę p. D. i oddawszy jej należyte pochwały, kończy rzecz swoje temi słowy: „Może kto powie, że byliśmy uprzedzeni na korzyść autora; na to odpowiemy, że istotnie byliśmy uprzedzeni, bo czujemy się mu dłużni za to, cośmy się z jego książki nauczyli.“ Temi słowy i my recenzyę naszą kończymy, z tą jednak odmianą, że dług nasz natychmiast spłacić chcemy w formie dobrej rady. Oto radzimy autorowi i wydawcy, aby przy drugiej edycyi (a niewątpliwie — choć to u nas rzadkością — doczeka się jej tak cenne dzieło) dodać zechcieli illustracye. Wtedy książka nieporównanie większą korzyść przyniesie, bo czytelnikowi lepiej wszystko wrazi się w pamięć. *l. m.*

Piśmiennictwo niemieckie.

(*Die Quintessenz des Socialismus von Dr. A. Schäffle. Zweite unveränderte Auflage. (Dritter Abdruck). Gotha 1877*).

W ostatnich czasach wiele piszą i mówią o socyalizmie; ale z tego wszystkiego widać, że większość ma o nim zgoła takie wyobrażenie, jak o żelaznym wilku. Lada namiętniejszy frazes, posłyszany z ust ludowego mowcy, lada zdanie, wyrwane z jakiej broszury lub dziennika, wystarczają już do sformowania rzekomej teoryi socyalistów i do potępienia ryczałtowego ich zasad.

Mając to na względzie, Dr. Wojciech Schäffle, były minister handlu w gabinecie Hohenwartha, znany zaszczytnie z badań swych ekonomicznych, na żądanie redakcyi „Deutsche Blätter“ napisał rozprawkę o socyalizmie, która pozyskała w Niemczech znaczny rozgłos, i następnie wydana osobno, pojawia się obecnie już w drugiem wydaniu.

Autor jest tego przekonania, które wypowiada w przedmowie do drugiego wydania, że dążenia socyalistów do przemiany gospodarczych stosunków leżą w interesie zarówno *klas posiadających i wykształconych*, jak i proletaryatu. Coraz bezwzględniejsze środki jakich się chwyta walka współzawodnicza na polu produkcyi i odbytu; olbrzymie pieniężne spekulacye, połączone z matactwem i częstokroć pociągające za sobą bankructwa licznych rodzin; wzrastające do przerażających rozmiarów publiczne i prywatne długi, ważne przeobrażenia w technice i komunikacyach, przyczyniające się do obalenia dawnej organizacyi gospodarczo społecznej; wszystko to stawia klasy posiadające w tem położeniu, że nie mogą mieć żadnej pewności, ażali najbliższe ich pokolenie nie zejdzie również do proletaryatu Nie socyalizm, ale istniejący stan rzeczy grozi ruiną ich własności i podkopaniem stosunków rodzinnych. Nie w walce na barykadach — mniema autor — zwycięży nowa zasada, lecz wskutek walki kapitałów, niszczących się wzajemnie, i własnowolnej dezorganizacyi panującego liberalno-kapitalistycznego porządku; nie przez rewolucyę osiągnie swój cel, lecz przez konieczną potrzebę ocalenia porządku społecznego i państwowego.

Jakąż organizacyą społeczno gospodarczą zapowiada socyalizm? Oto — zamiast pojedyńczych usiłowań stawia solidarną wzajemność; produkcyą opiera nie na prywatnych kapitałach, ale na jednym zbiorowym; zamiast współzawodnictwa, idącego samopas, zaprowadza organizacyą pracy; usuwa prywatną zależność a wszelki zawód czyni publicznym; zamiast zarobku, znajdującego się pod wpływem nie tylko rynku ale i indywidualnych usposobień pracodawcy, zaprowadza podział wszystkich wyrobów odpowiednio do wydajności produkcyjnej pracy każdego. To są główne rysy nauki socyalistycznej. Ma się rozumieć, jak we wszystkiem tak i tu są mniejsze lub większe odstępstwa zdań pojedyńczych od powyżej zakreślonego szematu; lecz z stanowczością można powiedzieć, że jest on treścią, jądrem, istotą prawie wszystkich uznanych systematów w socyalizmie. W ostatnich czasach sformowały się dwa wybitniejsze jego kierunki: mutualizm, opierający się głównie na zasadzie wzajemnej pomocy, i kolektywizm, skłaniający się do teoryi wspólnej własności. Ostatni system wziął prawie stanowczą przewagę nad pierwszym od czasu kongresów internacyonalnych w Szwajcaryi.

Krytyka ścisła istniejących ekonomicznych warunków, którą zwłaszcza Karol Marx znakomicie przeprowadził w dziele swojem pt. „Kapitał“, wykazała wady organiczne kapitalistycznego ustroju. Głównemi temi wadami są: wyzyskiwanie pracy i niewola ekonomiczna, korzyść osiągana przez samo tylko posiadanie kapitału (renta, procent, lichwa), nadużywanie kredytu publicznego przez zuchwałe i bezpodstawne spekulacye, przewaga społeczna czynników egoistycznych i chciwych, słowem warunki, przeszkadzające ustaleniu panowania sprawiedliwości i swobody w społeczeństwie. Socyalizm podejmuje się radykalnej naprawy. Niweczy prywatne zyski, usuwa dochody, nie opierające się na pracy; czyni niemożliwemi wszelkie matactwa (szwindle) giełdowe i spekulacyjne, podcina w samych korzeniach lichwę, obala raz na zawsze wszelkiego rodzaju monopole i przywileje. Socyaliści nie negują moralnych potrzeb społeczeństwa, jak wielu twierdzi bezzasadnie, ale pojmują dobrze, że bez materyalnej podstawy są one złudzeniem dla większości i że z tego powodu w istniejącym ustroju mogą z nich korzystać tylko niektóre jednostki.

Czy podobną jest rzeczą, ażeby socyalizm wywiązał się ze swego zadania? Nie jest li on utopią, nie mającą żadnych warunków do urzeczywistnienia?

Na to odpowiada Dr. Schäffle, że dopiero po długim namyśle, który trwał całe lata, wyrobił sobie obraz przyszłego socyalistycznego ustroju, najzupełniej odpowiadający wszystkim naukowym prawom gospodarstwa społecznego.

Rozważmy więc wraz z autorem konkretne wyniki zasady socyalistycznej, stosownie do oddzielnych głównych kategoryi gospodarstwa społecznego, któremi są: potrzeby, wytwór, zamiana, kredyt, dochód, użycie, spożycie i gromadzenie mienia.

Potrzeby. W istniejącym kapitalistycznym ustroju każda jednostka oddzielnie szuka zaspokojenia swych potrzeb na rynku kupieckim. Suma tych wszystkich prywatnych potrzeb stanowi to, co nazywamy *popytem*. Określa on mniej lub więcej wielkość *prodaży*, t. j. zaopatrzenia rynku w przedmioty żądane, a przez oddzielne jednostki w drodze swobodnej konkurencyi produkowane i dostarczane. Przy podobnym stanie rzeczy każda jednostka *swobodnie* — lubo zauważać tu należy, że ta swoboda jest bardzo względną — oznacza swoje potrzeby. Pozbawiając człowieka tej pierwszej podwaliny wolności, szlibyśmy przeciwko wymaganiom dziejowym rozwijającej się ludzkości. Czy też socyalizm istotnie jest zamachem na tę pierwotną wolność indywidualną? Czy główna zasada, na której się opiera, nie da się pogodzić z tą względną swobodą, której nam użycza ognisko domowe? Zniesienie prywatnych kapitałów, jako podstawy wszelkiej produkcyi, nie oznacza jeszcze zaprzeczenia swobody w zaspokajaniu potrzeb i zniweczeniu gospodarstwa domowego. Wprawdzie, dochody prywatnych osób nigdy nie urosną do takiego stopnia, ażeby dozwoliły na zbytek możliwy dzisiaj, ale też i nędza dzisiejsza stanie się tylko dziejowem wspomnieniem. Mierność w życiu domowem a większa okazałość zakładów publicznych cechować będą przyszły ustrój społeczny. Oznaczenie potrzeb indywidualnych w społeczeństwie socyalistycznem odbywać się będzie nie omackiem, jak dzisiaj, i z dobrej tylko woli prywatnych osób, ale świadomie przez pośrednictwo publicznego urzędu i ze ścisłością statystyczną. Zboczenia od średniej wielkości popytu muszą znacznie zmniejszyć się tam, gdzie nie będzie ani plutokracyi, ani proletaryatu, lecz tylko średni stan, nie przedstawiający wielkiej różnicy w stopniu swej zamożności. Muszę jednak tu dodać — dla uniknienia nieporozumień — że urząd publiczny nie będzie oznaczał, jakie być mają potrzeby pojedyńczych osób, lecz tylko spisywał je dla wiadomości tych, co dostarczaniem przedmiotów zajmować się powinni.

Wytwór i zamiana. Jak już wyżej się rzekło, indywidualne, prywatne usiłowania, regulowane tylko przez współzawodnictwo, ustąpić muszą ustrojowi, opartemu na samowiednem zorganizowaniu sił pracujących. Ślepa ekonomiczna maszyna zamienić się musi w spójny organizm, kierujący się wskazówkami rozumu i wyższej sprawiedliwości. Cała klasa pracowników, zarówno fizycznych jak i duchowych, otrzyma organizacyą stałą z podziałem na zawody, świadomie do potrzeb ludzkich obmyślanym. Każdy zawód uważać się będzie jako publiczny, słowem stanie się urzędem, każdy zaś pracownik przybierze charakter funkcyonaryusza publicznego, który pracuje nie dla pojedyńczych osób, lecz dla całego społeczeństwa, i który wynagrodzenie pobiera też od urzędu publicznego, jak to widzimy dzisiaj w administracyi, sądownictwie, zarządzie poczt, telegrafów, kolei żelaznych. Nie powinniśmy zapominać, że gałęzie te służby publicznej wykonywane były dawniej w drodze prywatnej, i że w niektórych państwach niemieckich, nawet po rewolucyi już francuskiej, sędziowie pobierali wynagrodzenie od stron prywatnych. Że wytwór pewnych przedmiotów może być ujęty w formy rządowej administracyi, przekonywa nas pomiędzy innemi w Austryi monopol państwowy fabrykacyi tytoniu i tabaki. Ziemia, jako warstat pracy rolniczej, stanie się własnością wspólną, używaną przez gminy rolnicze; fabryki wszelkie należeć będą do społeczeństwa, administracya zaś do korporacyi rzemieślniczych. Kapitały prywatne zleją się w jeden wspólny, społeczny, zarządzany przez urząd publiczny i rozdzielany stosownie do potrzeb gmin rolniczych i stowarzyszeń fabrycznych. Praca odbywać się będzie wspólnie i ku wspólnemu pożytkowi. Mała produkcya, tak rolnicza jak przemysłowa, zamieni się w korzystniejszą — wielką. Kto mówi o peryodycznym podziale własności prywatnej przez socyalistów, ten okazuje grubą nieświadomość i walczy z wiatrakami — jakby jaki Donkiszot.

Zamiana, odbywająca się w ustroju ekonomicznym, właściwie jest obiegiem mienia, potrzebnego do życia i rozwoju tak całego organizmu jak i oddzielnych jego części. Czynność tę nader ważną, doznającą dzisiaj licznych przeszkód i nierównomiernie odżywiającą organizm we wszystkich jego częściach, społeczeństwo socyalistyczne ureguluje odpowiednio do wskazówek naukowych. Klasa kupców i przekupniów,

pośrednicząca pomiędzy wytwórcą i spożywcą, a nader liczna dzisiaj, zwłaszcza tam, gdzie zagęściła się potężnie ludność żydowska, ograniczy się do niezbędnej tylko liczby czynników publicznych, zajmujących się zwożeniem wytworzonych przedmiotów do wspólnych magazynów, nadzorowaniem tych ostatnich, wydzielaniem potrzebnej ilości mienia obiegowego na każdą oddzielną rodzinę i rozwożeniem zgromadzonego zasobu celem równomiernego — o ile można — obdzielenia wszystkich miejscowości, pozostających w związku ze sobą i tworzących jednoimienny wspólny organizm, państwowo-narodowy. Jakże więc niedorzecznym jest zarzut, czyniony socyalistom, że nie uznają indywidualności oddzielnych narodów i są wrogami samorządu gminnego! Przeciwnie, socyaliści właśnie dążą do tego, by wspólność, jednocząca naród, przybrała jeszcze większe rozmiary i stopień. Jako najzawziętsi zaś przeciwnicy wszelkiego wyzyskiwania, domagać się stanowczo muszą, ażeby każdy społeczny osobnik organiczny (a, więc naród i gmina) używał w pełni wszystkich swych praw i przez żadny inny osobnik nie był wyzyskiwany. Są wprawdzie zwolennikami federacyi narodowych, ale takiej federacyi, jaką orzekła unia lubelska — równych z równymi, wolnych z wolnymi. Spory narodowościowe niemożliwemi się staną w ustroju socyalistycznym. Lecz nie o niedorzeczność, ale o złą wolę należy posądzić wszystkich, którzy socyalistów przedstawiają jako wrogów i burzycieli społeczeństwa! „Zasada kolektywistyczna — powiada z całą słusznością Schäffle — odsuwając kwestyę możności jej zrealizowania, a biorąc rzecz *idealnie*, z pewnością przedewszystkiem jest zasadą *społeczną*.“ Wszak i to społeczeństwo, które istnieje, właśnie istnieje dla tego, że łączą je pewne wspólne więzy. Lassalle w dziele swojem: „System praw nabytych“ (System der erworbenen Rechte) gruntownie wykazuje, że prywatne owładnięcie produkcyi społecznej przez kapitał jest zjawiskiem antisocyalnem i feudalnem, tak samo jak dawniej było panowanie patrymonialne feudałów w państwie.

Kredyt. Nowa organizacya społeczna dopuszcza dochód prywatny tylko na jedynej drodze, drodze *pracy*. Pożyczki prywatne, dzierżawy, czynsze mieszkalne tracą wszelkie znaczenie wobec tego, że społeczeństwo w razie potrzeby użycza kredytu bezprocentowego w przedmiotach, koniecznie potrzebnych do życia, oddzielnym osobom lub rodzinom, a nadto uznaje prawo każdego do pracy, wyznaczając odpowiednie mu zajęcie i połączone z niem mieszkanie. Socyalizm neguje zarówno pieniężną jak i ziemską arystokracyę, dążąc do tego, ażeby prawdziwa osobista tylko zasługa odbierała należny jej hołd w społeczeństwie. W nowym porządku rzeczy nie ma miejsca ani dla banków, ani dla giełdy. Nowa zasada z całą stanowczością usuwa olbrzymie nadużycia publicznego i prywatnego kredytu, obalając zarazem i „brudne zbojeckie rycerstwo giełdowców.“ Rzecz godna uwagi, że właśnie z łona żydów, którzy owładnęli wszędzie rynkiem pieniężnym i matactwa giełdowe posunęli do najwyższego stopnia, wyszli też i najznakomitsi socyalistyczni krytycy tego porządku: Karol Marx i Ferdynand Lassalle*).

Dochód. Socyaliści są przeciwni używaniu pieniędzy kruszcowych, ponieważ ten znak zamienny ukrywa i ułatwia wyzyskiwanie pracy. Z wielką starannością krytyczną uwidocznili, że zapłata pieniężna robotnika nie zawiera w sobie całej wartości jego pracy, lecz pewną jej zwyżkę pozostawiać musi przedsiębiorcy jako prywatną jego korzyść. I ekonomiści nie zaprzeczają rzeczywistości tego faktu. Pieniądz dzisiaj ma dwojakie znaczenie: 1) jako oznaka prywatnych zasobów, któremi posługuje się wszelkiego rodzaju produkcya, i 2) jako wyraz prywatnego dochodu, przeznaczonego na utrzymanie i wygodę oddzielnych osób lub rodzin. W nowym ustroju, gdzie produkcyjny kapitał stanie się własnością społeczną, ustanie także i potrzeba nadawania mu takiej formy, któraby czyniła możliwem łatwe jego przechodzenie z rąk do rąk. A że jako dochód prywatny nie daje prawdziwej miary wartości pracy, więc należy obmyślić nową formę dla dokładnego jej oznaczenia. Taką formą — podług przekonania socyalistów — jest asygnata, oznaczająca wartość średniego dnia pracy. Za jej okazaniem każdy otrzyma z publicznych magazynów tyle przedmiotów, na cele użycia przeznaczonych, ile z obliczenia wypada, że człowiek średnich sił w stanie jest wytworzyć w danym czasie, ma się rozumieć, po potrąceniu pewnej części na wymogi ogólnego pożytku. W ten sposób moneta metalowa stanie się zbyteczną, i wszelkie jej szkodliwe następstwa ustaną.

Użycie, spożycie i gromadzenie mienia. Kolektywistyczny socyalizm nie neguje prywatnej własności; lecz ogranicza ją tylko do takich rozmiarów, które czynią ją w ścisłem znaczeniu prywatną, tj. usuwa z dziedziny prywatnej wszelką większą produkcyą, któraby miała na oku nie indywidualne swoje, ale społeczne potrzeby. „Ludzie nawet wykształceni — powiada Schäffle — przypisując socyalizmowi *negacyą własności*, tem obiawiają tylko własną niewiadomość; tysiące zwykłych robotników, którzy lepiej tę rzecz rozumieją, mniemają, że zarzut ów pochodzi jeno ze złej woli klas posiadających.“ „Także jest nieprawdą, jakoby zasada własności kolektywnej była zgoła nową i sprzeciwiała się istniejącemu prawu, wszak wszystkie tak zwane moralne osoby: państwo, kościół, gmina, wreszcie rodzina, posiadają w mniejszym lub większym rozmiarze własność kolektywną.“ Teorya socyalistyczna wprawdzie własność tę rozszerza i całą produkcyą społeczną na niej opiera, stara się atoli o ile można — bez krzywdy niczyjej — pozostawić oddzielnym osobom możność swobodnego użytkowania ze swojej pracy i swego dochodu. Sama organizacya przyczyni się tylko do tego, że dochody prywatne oddzielnych osób mało się różnić pomiędzy sobą będą; że skala życia w stosunku do dzisiejszej podniesie się u większości, ale nie przekroczy granicy skromnej mierności; wreszcie, że zbytek indywidualny stanie się niemożliwym, raz z powodu ograniczoności dochodu, drugi raz wskutek tego, że społeczeństwo zaniecha produkcyi zbytkowych przedmiotów. Nowy ustrój nie wyklucza ani oszczędności, ani dobroczynności prywatnej, ani nawet możności robienia majątku, lubo ten z natury samych warunków całego ustroju nigdy do znacznych rozmiarów nie będzie mógł urość. W nowym układzie społecznym nie spotkamy ani bogaczy, ani nędzarzy; lecz mniejsza lub większa zasobność oddzielnych rodzin u osób jest możliwą. Jak się zorganizuje życie prywatne w ustroju socyalistycznym, stanowi to kwestyę już więcej podrzędną. W każdym razie ulegnie ono zmianie, i według wszelkiego prawdopodobieństwa oprze się na wypróbowanej i w dobre skutki płodnej zasadzie stowarzyszeń. Koniecznie wypadnie pomyśleć np. o zmniejszeniu dzisiejszej rozrzutności w pracy domowej, ponieważ najemna służba prywatna, nazywana przez socyalistów niewolą domową, z nowym ustrojem ustać musi. Czyli jednak organizacya życia domowego pójdzie torem wskazanym w Milhuzie, czyli też torem wskazanym w falansterze Godin'a, to już sprawa dobrej woli z osobna prywatnych rodzin. *)

B. L.

*) Zwracamy przytem uwagę na piękną broszurę Lassalle'a pt. „Program robotników,“ która wyszła niedawno w przekładzie polskim, i której główny skład znajduje się w Księgarni Polskiej.

*) Zamieszczając powyższe sprawozdanie z broszury Schäfflego, jako wyborną charakterystykę socyalizmu, o którym u nas tak wiele opacznych i przesądnych krąży sądów, winniśmy się zastrzedz, iż zgoła nie podzielamy zasad powyższych i socyalizm uważamy za pobożne życzenia ludzi dobrej woli, życzenia niemożliwe do przeprowadzenia w społeczeństwie ludzkiem, jako zupełnie niepraktyczne. *Redakcya.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 24. listopada.

Kawki i wrony polskie mają w swej naturze coś pańskiego: lato przepędzają wśród cudów natury, kołysząc młode kawczątka na wiotkich gałęziach niebotycznych sosen — a gdy zawieje mroźny Boreasz, a śnieg ma zamiar okryć całunem śmierci ich letnie mieszkania — zwijają swój wiejski obóz i pchają się gromadami do miasta, aby za tyle trudów i pracy letniej pobawić się na bruku miejskim, używając wroniego karnawału. Nie mamy nic przeciw tej krakającej czeredzie gości, która bądź co bądź nie jedzie do ciepłych krajów na zimę, ale przychodzi tu razem z nami klepać tę biedę wspólną, i podobnie jak my, nie mający swej własnej narodowej strzechy, żywić się resztkami potraw, które nam dzie. jowe przeznaczenie na swe ulice wyrzuca. Dlatego kochać musimy tych dobrowolnych wspólników naszej niedoli, i witamy ich serdecznie, gdy zajrzą do progów naszych. Daj Boże, aby wszystkie narodowe nasze kawki, wrony i gawrony miały tyle patryotycznego uczucia, i rozumiały w ten sposób ojczyste obowiązki.

Ci leśni goście nasi — razem z opadającemi listkami z drzew, które patrzały na lepsze czasy, nastrajają nasz umysł na dziwnie smętną i poważną nutę listopada. W dziejach naszego narodu miesiąc ten ma tyle rzewnych a dla duszy bolesnych wspomnień, że nie ma pewnie ani jednego oka, któreby nie zaszło łzą żalu, choćby tylko przypominając dzieje powstania 1831 roku i utratę patrona poezyi polskiej, jakim był Adam Mickiewicz. Dopóki naród polski żyć będzie, dopóty dzień 28 i 29 listopada nie przestanie być świętem narodowem. Belweder wraz z iskrą nowego życia, jaką rozbudziła wolność targająca nałożone jej pęta w nocy listopada — świetlana postać geniusza, dogorywającego na obcych wybrzeżach Konstantynopola z wyciągniętą prawicą ku rodzinnej ziemi — dwa te obrazy muszą potrząsnąć do głębi sercem i duszą każdego Polaka. Nie ma najgorszego między nami, któryby na wspomnienie tych dat nie poczuł w sobie krwi polskiej, miłości do tej nieszczęśliwej skołatanej ojczyzny, wyśmianej, poniewieranej, spotwarzonej od innych, a którą my właśnie dla tego coraz bardziej kochamy.

Otóż z takiem wzmocnionem uczuciem przywiązania do ukochanej matki, wracaliśmy z wieczorku urządzanego rok rocznie na pamiątkę śmierci Adama. Sala napełniona — nastrój poważny, jakby na stypie narodowej, stare i młode serca biją żywiej, gdy pośród zielonej gęstwiny kwiatów wynurza się serdeczno-smętna postać geniusza, który jakby dowódzca pielgrzymów polskich, wielki, niewzruszony, spokojny i pełen nadziei, spogląda na tę gromadkę wykarmioną cudownem tchnieniem boskiej swej pieśni, wierną niezatraconej idei zmartwychwstania narodu. Pan J. Sadowski gorącemi słowy powitał zgromadzonych, a rzecz swą wypowiedział skromnie, z godnością odpowiednią młodemu pokoleniu, zachęcając do pracy i zgody. Pp. Wysocki i Myszuga odśpiewali duet z opery „Halka,“ a p. Popławski wygłosił z siłą i talentem deklamacyjnym końcowy ustęp z Konrada Walenroda. Następnie pan Wojciechowski odśpiewał pieśń Stefana z opery „Straszny Dwór,“ a p. Biegeleisen odczytał rzecz o Telimenie i Zosi, jako studyum z postaci kobiecych z epoki Pana Tadeusza. Prawdziwą przyjemność i niespodziankę sprawił grą swoją pan Romaszkan: trudny i już koncertowego zakroju polonez Szopena *es-dur*, smętno-lekkiemi tony jak spiew czarodziejski wypływał z pod palców grającego. Winszujemy p. Romaszkanowi takiego zrozumienia utworów Szopena, podziwiamy jego delikatne dotknięcie, przy którem nie czuć prawie klawiszy fortepianu. Pan Oskar wśród zachwytu zgromadzonych odśpiewał dźwięcznym barytonem „Czaty“ Moniuszki, a na żądanie „Lirnika“ ze słowami Syrokomli. Kwartet na cztery głosy J. Stattlera „Ostrokrzew“, wykonany przez pp. Wojciechowskiego, Falla, Oskara i Totha zakończył wokalną część programu.

Piękny i gorącą duszą skreślony wiersz „Nad mogiłą.“ wygłosił autor p. Klemens Kołakowski, z którego pozwalamy sobie przytoczyć parę strofek:

„Dalej i dalej!“ — Z tym głosem w duszy,
Co łzawi oczy i serce pali,
Pośród burz morza i lądów suszy
Błądzić im dano dalej i dalej.
Łez żalu po nich nikt nie uroni,
Nikt na spotkanie nie wyjdzie rad,
Bo to tułacze w błędnej pogoni,
Bo to wygnańcy z ojczystych chat!
. . . .
. . . .

Potem mówiąc o czarownej sile pieśni w narodzie, tak określa jego żywotność:

Jak długo naród z zachwytem słucha
Dźwięków tej serca Jego spuścizny —
Żyje — jak długo polskiego ducha
Stanie w zagrodach polskiej Ojczyzny!
Żyje! Bo, kędy Wilija płynie,
Słychać pieśń Wieszcza w szumie jej fal —
Bo jeszcze w cichej Kowna dolinie
Po jej Śpiewaku nie ustał żal...

W końcu uproszony przez komitet urządzający tę uroczystość przemówił rektor Węclewski do młodzieży, wskazując jej w prostych słowach obok specyalnego kierunku obowiązek wszechstronnego kształcenia się, przywodząc, że Mickiewicz uprawiając poezyę studyował fizykę, starożytne i nowożytne języki z ich literaturą. Wykształcenie wszechstronne — mówił szanowny rektor—jest najwyższą roskoszą życia, bo w każdym zawodzie, a szczególniej przy gospodarstwie wiejskiem, daje możność użytecznego przepędzenia czasu zostawiając na stronie zabawy niegodne obywatela ziemskiego i obywatela kraju, powołanego do uczestniczenia w sprawach narodowych.

Rozpierzchnięte kółka polskich pracowników z Berlina, Wiednia, Insbruku, Pruszkowa, Pragi, tudzież Uniwersytet krakowski, Towarzystwo pedagogiczne z Tarnopola, Stanisławowa i innych miejsc, jak również szanowny J. I. Kraszewski nadesłali telegraficzne i listowne życzenia i pozdrowienia braterskie, łącząc się myślą i sercem z obchodem tej narodowej uroczystości.

Dzięki zacnej młodzieży takiej, która oddając hołd przeszłości, utrzymuje w swej duszy wieczny ogień miłości ojczyzny — pokrzepiając i nas starych w tej nadziei, że uczciwy siew ręką naszą rzucony, nie wydaje kąkolu.

W przyszłym roku kończy się lat pięćdziesiąt, kiedy Nestor i prawdę powiedziawszy twórca powieści naszej, Józef Ignacy Kraszewski, pierwszy raz wziął jako pisarz pióro swe do ręki. Komitet wdzięcznych wielbicieli jego talentu i niezmordowanych zasług dla społeczeństwa polskiego, w tych dniach wydaje odezwę do narodu, dla zebrania składek na ofiarować się mający medal czcigodnemu jubilatowi. Spodziewamy się, że nie potrzeba będzie zachęcać wykształconej publiczności naszej do uczestniczenia w tej składce narodowej. Jeżeli kto, to pewnie J. I. Kraszewski, na którego powieściach z najzacniejszą i zawsze polską tendencyą wychowały się dwa pokolenia polskie i grono dzisiejszych pisarzy naszych, godzien daleko wyższej wdzięczności, niż którą mu ofiarować chcemy. Znamy zanadto dobre serca współbraci naszych i wiemy, że przyszłe pokolenie nie będzie miało powodu obwiniać nas o niewdzięczność...

I tegoroczny listopad nie zapomniał przyłożyć do skarbnicy smutnych pamiątek, jeszcze nowej gałązki ciernia, zabierając z tego świata śp. Lucyana Siemieńskiego, założyciela „Czasu“ krakowskiego. Możemy nie zgadzać się z tendencyą i opiniami teraźniejszemi tego pisma, ale strata jednego ze świeczników literatury naszej, jakiem bez wątpienia był śp. Siemieński, musi nas boleć.

Tłumacz Królodworskiego rękopisu. autor przekładu Odyssei, żywota Kościuszki, Mazameritu, Wieczorów pod Lipą i tylu innych wytwornym stylem napisanych powiastek, portretów literackich, rozbiorów krytycznych i dzieł poważniejszej treści, jak niedokończona historya literatury powszechnej — zajmował bardzo wybitne stanowisko w plejadzie dygnitarzy naszego piśmiennictwa. Pod względem czystości języka, świetnej prostoty stylu, i dosadności wyrażeń malujących przedmiot z artystyczną wytwornością — stanął obok Libelta i Klaczki — a obecnie równych sobie pod tym względem nie zostawia. Powtarzamy raz jeszcze, że w wielu względach nie podzielaliśmy zapatrywań i wygłaszanych sądów śp. Siemieńskiego, lecz szanując z zasady uczciwe przekonania każdego — szanujemy pamięć jego i zasługi położone w ciągu tyloletniej pracy nad uprawą literatury ojczystej.

Śp. Lucyan Siemieński zmarł dnia 27 listopada w Krakowie, licząc 68 lat życia swego.

* * *

Rocznicę listopadowego powstania obchodził Lwów uroczyście: z rana solennem nabożeństwem w kościele OO. Dominikanów — wieczorem wspólną ucztą, której ozdobą był weteran wojsk napoleońskich, wytrwały żołnierz powstań narodowych i walk o wolność pułkownik Chotomski. Liczni przedstawiciele bohaterskich usiłowań z lat 1830. 1833. 1846. 1848. 1849. 1853. 1863 byli żywym przykładem niewygasłej wiary narodowej. Przemawiali pułkownik Chotomski, Goldman, Dobrzański, Romanowicz, Groman wyrażając te uczucia, któremi przepełnione były piersi wszystkich obecnych i te nadzieje i pragnienia, które ożywiają wszystkich od Bałtyku do Czarnego morza, od Karpat i Odry do Dźwiny i Dniepru.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Crüger Jan Dr.* Zarys psychologii dla użytku szkolnego i nauki prywatnej przełożył Zygmunt Sawczyński. 8ka, str. 144. Kraków 1878, 1 złr.

— *Klun V. F. Dr.* Geografia powszechna. Podręcznik wedle pierwotnego tłumaczenia L. Germana i R. Starkla przejrzał i wydał ponownie R. Starkel. Wydanie wtóre I. połowa, 8ka, str 128. Lwów 1878, z policzeniem za całość 2.10

— *Lenartowicz T.* Lirenka. 16ka, str. 99. (55. tomik biblioteki Mrówki). Lwów nakład księgarni Polskiej 1878, 35 ct.

— *Pawlicki St. Dr.* Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii 4º. str. 81, Kraków 1878 1.50.

— *Szlosser F. K.* Dzieje powszechne Tom XX 8ka, str. 639. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej 1878 w prenumeracie 2.50.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Literatura, sztuka i nauka.

— Dziejów powszechnych Szlossera, wydawanych nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie, opuścił prasę tom 20, w którym doprowadzone są dzieje do roku 1830, czyli do rewolucyi lipcowej. Dwa ostatnie tomy tego szacownego dzieła znajdują się pod prasą i druk wkrótce ukończonym zostanie.

— Dr. Ant. St. Berger, znany hygienista i autor wielu bardzo cennych dzieł lekarskich opracowanych dla szerszej publiczności, wydał obecnie nową pracę p. t. *Diphtheritis, Angina,* ich rozpoznanie i sposób leczenia, popularnie skreślone dla użytku rodziców, opiekunów, zakładów itp. Dziełkiem tem przychodzi szanowny autor w pomoc rodzicom, podając środki zaradcze w pierwszej chwili ukazania się słabości, tak dziś powszechnie między dziatwą grasującej, a na które nie zawsze na razie pomoc lekarska znaleść się może, wezwana zaś za późno najczęściej przybywa, kiedy już ratunek staje się niemożliwym.

— *Lilla Wenéda* tragédie en cinq actes et prologue par Jules Słowacki. Traductions en vers avec une notice biografique sur l'auteur par Jules Mien, Paris. Librairie Sandor et Fischbacher. 1878.

Wdzięczność należy się z naszej strony panu Mien, który już nie jedno arcydzieło polskie dał poznać publiczności francuskiej, co jak na obecne ciężkie czasy naszej niewoli politycznej, wśród której z natury rzeczy nikt literaturą naszą nie interesuje się, jest dla nas nie bez korzyści. Przekłady p. Mien, jeżeli nie dorównywują oryginałowi i nie mają tej siły wyrażenia, jaka cechuje znakomite dzieło Słowackiego, są jednak wiernem oddaniem myśli i dają cudzoziemcom możność poznania ducha poezyi polskiej.

— *Skarb mojej cioci,* powieść przez Aryę. Lwów, 1877 r. Jest to większa praca młodej autorki. Obszerniejszą ocenę zamieścimy wkrótce.

— *Pamiątka z Wystawy lwowskiej.* Zbiór tańców na wystawie grywanych na fortepian ułożonych. Składa się z ośmiu utworów: *B. Geistlennera,* Mobile Polka-galop; Pamiątka wystawy, 3 mazury; Sans façon, Polka-galop; *Rakowieckiego,* Patrząc w twe oczy, polka mazurka; Eins, zwei, drei, walce; Babunia, polka francuska; *Lipińskiego,* Ne rody sia krasnym ałe szczasnym, dumka i kołomyjki; *Zalasińskiego:* Fela polka Nakład Karola Wilda we Lwowie. Cena całego kompletu 2.50.

— *Gazeta Polska* zamieściła w swoim odcinku studyum Lucyana Siemieńskiego, p. t. „Księżyc w archeologii, heraldyce, poezyi i sztuce.“ Rzecz ta napisana z wdziękiem słowa i poczuciem estetycznem, czyta się nader przyjemnie. Na początku roku *Kronika Rodzinna* miała równie powabne studyum Siemieńskiego: „O słowiku.“

Zakłady naukowe.

W Muzeum techniczno-przemysłowem krakowskiem z d. 6 listopada rozpoczął się dziesiąty rok wykładów popularnych dla kobiet.

W obecnem półroczu wykładać będą:

Na Wydziale nauk przyrodniczych: Dr. Karliński, astronomię popularną; Dr. A. Alth mineralogię i geologię; Dr. A. Rehmann botanikę; Dr. Żegota Król zoologię; Dr. A. May fizykę doświadczalną; prof. W. Rozwadowski chemię; Dr. S. Janikowski hygienę popularną.

Na wydziale historyczno-literackim:

a) przedmioty stałe: Dr T. Ziemba literaturę polską; p. Gustaw Ehrenberg literaturę powszechną; p. Alfred Szczepański historyę polską; p. Ksawery Pietraszkiewicz pedagogikę.

b) przedmioty niestałe: Dr. St. Smolka historyę powszechną (wieki średnie); Dr. Józef Szujski „Sejm czteroletni w głównych zarysach“.

Na Wydziale sztuk pięknych: Dr. Izydor Kopernicki „Naukę o budowie i proporcyach ciała, o kształtach zewnętrznych, o postawach i ruchach, jakoteż o układzie rozmaitych jego części w chwili danej akcyi“. Wykłady perspektywy artystycznej jakoteż historyi sztuki, dla przyczyn niezależnych od Zarządu nie są jeszcze ściśle oznaczone. Rysunkowych oddziałów jest sześć. W pierwszym oddziale olejnego malarstwa i rysunków z gipsu z martwej i żywej natury udziela p. H. Lipiński; w drugim oddziale rysunków z wzorów i z gipsów p. J. Siedlecki; w trzecim równie też rysunków z wzorów i z gipsów p. Leonia Bierkowska; w czwartym oddziale krajobrazów ze wzorów i w lecie z natury udziela p. H. Lipiński; w piątym i szóstym oddziałach rysunków linearnych Dr. D. Wierzbicki. Oddział kompozycyjny dla braku funduszów nie mógł być otwartym, pomimo że były w tym roku uczennice, które w ciągu kilku lat odbywszy stopniowo w Zakładzie

wszystkie nauki na Wydziale Sztuk pięknych, potrzebowały jeszcze ostatecznego uzupełnienia studyów w tym kierunku; Zakład wyczerpawszy wszelkie możebne zasoby, nie mógł się już zdobyć na tak liczne wydatki i z żalem zmuszony był opuścić swe uczennice, pozostawiając je nadal własnym siłom.

W oddziale drzeworytniczym udziela drzeworytnictwa p. Ksawera Chlebowska, główny zaś kierunek i opiekę nad Wydziałem Sztuk pięknych przyjął dyrektor szkoły sztuk pięknych, p. J. Matejko.

Na wydziale handlowym dla kobiet rozpoczną się wykłady tylko wtedy, gdy się zbierze przynajmniej dwanaście uczennic. Przedmiotami wykładanymi będą: Arytmetyka handlowa wraz z nauką o miarach i wagach, prowadzenie ksiąg handlowych pojedyńcze i podwójne wraz z nauką o wekslach i korespondencya handlowa.

Na wydziale gospodarczym: p. B. Ryx, wykładać będzie: „Gospodarstwo domowe kobiece, poprzedzone krótkim zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności“. Inne przedmioty na tym Wydziale, jako to: Wykłady sadownictwa i ogrodnictwa warzywnego i kwiatowego, jedwabnictwa i pszczelnictwa, technologii domowej, rachunkowości i prowadzenia ksiąg gospodarczych, rozpoczną się z początkiem maja, jeśli się zbierze dostateczna liczba słuchaczek. Równie też rozpoczęcie lekcyi języków: polskiego, francuskiego, niemieckiego, angielskiego i włoskiego zależy od zapisów uczennic.

Wiadomości ekonomiczne.

— Komitet muzeum przemysłu i rolnictwa na podstawie sądu rzeczoznawców wyróżnił następujące prace znajdujące się na tegorocznej wystawie pracy kobiet w Warszawie.

1) W dziale haftów na suknie roboty nadesłane przez hr. Bnińską z Galicyi, p. Helenę Kurnatowską z Brudzewa, p Jeżewską ze Skowina, hr. Mielżyńską (dwie serwety), p. Tykielową i p. Kazimierę Koźmińską.

2) W dziale robót krzyżowych na kanwie, roboty pp. Karasińskiej, Sienkiewiczowej, Pękosławskiej Noakiewiczowej, Mazarakowej (kołnierz i mufka z pawich piórek i puchu).

3) W dziale haftów kolorowych roboty pań: Krzywickiej (ornat), Bujnowiczowej (widok Willanowa), hr. Potockiej z Buczacza (w Galicyi), p. Zandersowej, hr. Bnińskiej ze Lwowa (pokrycie na meble), baronowej Heidlowej z Galicyi (dolman węgierski), księżny Sapieżyny ze Lwowa, pani Wołowskiej (ornat) i Kosmowskiej (fotel).

4) W dziale robót szydełkowych, roboty nadesłane przez panie: Łopuską, Czajkowską, Szwedową, Poświkowską. Daszkowską i Małecką.

5) W dziale siatek gipiurowych, roboty pań: Leszczyńskiej, Bauerfeindowej Maryi, hr. Dzieduszyckiej ze Lwowa, Bauerfeindowej Zofii i Janowskiej.

6) Za gipiury (à point lacet), roboty pań: Dobrzańskiej, Grzybowskiej, Zawiszyny i Miszewskiej, Jasieńskiej, Ejdziatowiczowej, Natansonowej, księżny Sapieżyny ze Lwowa i włościanek ze wsi Drążgowa w Poznańskiem.

7) Za roboty frivolité, panie: Filipowiczowa, Chrzanowska i hr. de Broel-Platerowa.

8) Za koronki point à l'aiguile, panie Stelcerówna ze Lwowa (wachlarz koronkowy), hr. de Broel-Platerowa, Jasińska, Wróblewska, Kryżowa, Łukaszewiczowa (założycielka szkoły koronkarskiej w Galicyi) i Ebertowa.

9) za obuwie, panie: Aleksandrowiczówna, Piasecka i Grabowska.

10) za pończochy, warszawska fabryka pończoch, panie: Fijałkowska. Łączkowska i Hilkowa.

11) za obrazy, panie: Dukszyńska, Karnicka Marya, Bayerowa, Prusinowska, Eydziatowiczowa, Fechnerowa, Majewska, Dukszyńska Olga, Rakowska Eufrozyna, Jankowska Marya, Oborska, hr. Antonina Łubieńska i szkoła hr. Maryi Łubieńskiej.

12) za kwiaty, panie: Hoffmanowa Marya, Danilowska, Karska, Stano, Łysakowska, Dzięciołowska, Olędzka i Loth (także za kapelusze słomkowe).

13) za suknie, panie: Bogowolska, Kielanowska i Jekiel.

14) za hafty białe, zakład św. Marty w Warszawie, zakład św. Teresy ze Lwowa, panie: Bujnowiczowa, Faleńska, Instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.

15) za wyroby koszykarskie, panie: Żarska i Kuczyńska.

16) za szycie bielizny, zakład św. Marty, panie: Reichowa Paulina, Geysmerowa, Rzepska.

17) za rękawiczki, panie: Kurnatowska, Rodkiewiczowa Olimpia, Izdebska, Szaniawska, Zwolińska.

18) za drzeworyty, panny Orłowskie i panna Kleczyńska.

19) za snycerstwo i roboty z drzewa, panie: Medeksza, Malinowska i Jeżewska.

20) za fotografie i heliominiatury, panie: Chicińska, Iżycka Idalia, Powichrowska, Petrés, Janowska i Chilewska.

21) za introligatorstwo, panie: Mikłaszewska i Nowacka.

22) za gospodarstwo domowe, panie: Ćwierczakieczowa Lucyna, Zalewska Marya, Kurnatowska, Rodewaldowa Marya, Kępińska, Chróściechowska, hr. Zamojska, Pożerska, Ługowska, Celińska, Pleszczyńska, Wolska i Jeżewska.

ROZMAITOŚCI.

Przybyli z Moskwy opowiadają, iż zima zagościła tam już na dobre. Śniegi zasypały miasto. Mróz dochodzi do kilkunastu stopni.

W Chełmnie postrzelono podobno śmiertelnie kuglarza Epsteina. Między produkcyami swemi zwykł on był kazać do siebie strzelać z karabinu i chwytać niby to kulę w powietrzu. Aparat do strzelania zawiódł już w Toruniu i skaleczył strzelającego, w Chełmnie kula ugodziła Epsteina, iż w kilka godzin umarł.

Z Paryża donoszą ciekawe szczegóły o posągu „Wolności oświecającej ziemię“, wykonywanym obecnie w fabrykach p. Manduit i Spółki w Paryżu. Posąg ten ma znajdować się na wystawie powszechnej w roku przyszłym. Wymiary głowy przypominają kolos rodyjski. Obwód jej wynosi 14 metrów, wysokość 4 metry. We wnętrzu posągu może się pomieścić 15 osób. Ciężkość jego dojdzie do 3.000 kilogramów. Nos ma długości 1 metr 20 centymetrów. Dwie osoby mogą zająć miejsce w nozdrzach; od nosa do karku 6 metrów; uszy mają 1 metr, gęba 80 centymetrów, ręka 4 metry 20 centymetrów, palec średni ma około 2 metrów długości i waży 45 kilogramów; ręka posłana na wystawę filadelfijską waży 1.800 kilogramów, i większa jest niż kocioł lokomotywy. Popiersie ma 8 metrów długości.

Posąg trzymający w ręku pochodnię, będzie miał 42 metry wysokości, z podstawą zaś wysokość jego ogólna dojdzie do 67 metrów, czyli posąg będzie przewyższał o jeden metr wieżę paryskiego kościoła „Notre Dame“.

Olbrzym ten służyć będzie za latarnię w porcie nowojorskim. Budowany jest z miedzi kutej, na $3^1/_2$ milimetry grubości. Wewnątrz znajdują się schody spiżowe. Szkła będą osłaniały aureolą posągu, składającą się z siedmiu promieni światła elektrycznego.

Taki to dar, na uczczenie bratniego sojuszu, Francya ma posłać, po ukończeniu posągu, Stanom Zjednoczonym.

Handel niewolnikami w Afryce, zdaje się, że zostanie ostatecznie wykorzeniony. Obecnie bowiem rząd angielski, jak donosi Memorial diplomatique, urządził specyalne komisye nadzorcze w Kairze, Aleksandryi oraz w miastach Tanti i Sinti, słynących jako główne rynki zbytu niewolników. Anglia tym sposobem obok filantropijnego celu ma także inny, to jest rozszerzenie swego wpływu politycznego na Egipt. Tak przynajmniej utrzymuje wyżej cytowana gazeta.

Poselstwo chińskie przybyło w tych dniach do Berlina. Z dworca kolejowego udali się Chińczycy prosto do wynajętego dla nich pomieszkania przy ulicy Fryderykowskiej, które jest w sposób jak najwytworniejszy urządzone. Poselstwo składa się z następujących osób: Liu-Tajina, ces. chińskiego radcy i podkomorzego, Li-Tajina, sekretarza, Liu-Juyi, drugiego sekretarza, trzech attachés pp. O. Braun-Brown, Chang-Szehsün i Chang-Fung-shu, oraz pełnomocników wojskowych Chi-Twan i Ho-Csich-jin. Pięciu mandarynów, którzy składać będą personal kancelaryi poselstwa, przybędzie jeszcze za poselstwem, które sprowadziło z sobą z Chin nawet służbę, t. j. dwóch kucharzy, golarza, krawca i 4 lokajów. Tak wszyscy członkowie poselstwa, jako też służba noszą strój narodowy chiński, który zwłaszcza u posła Liu Ta-jin jest nadzwyczaj bogaty. Wierzchnia szata tegoż jest z atłasu, w kwiaty pokrytego błękitną krepą. Na piersiach ma poseł wyhaftowane odznaki swej wysokiej godności; na głowie, z której się zwiesza długa kosa, nosi beret z długiem piórem, które jest dekoracyą wysokiego orderu. W stosunkach z Europejczykami reprezentuje poselstwo głównie attaché Braun-Brown, jako najlepiej znający języki europejskie. Cesarz chiński za pośrednictwem poselstwa tego miał przesłać bardzo cenne upominki królowi pruskiemu. Kobiet posłowie chińscy nie przywieźli z sobą.

Francuska flota handlowa, według świeżo ogłoszonego wykazu liczy 15,407 okrętów różnych rozmiarów i systemów, obejmujących ogółem 1,011,285 beczek ładunku.

Od Redakcyi.

Wny. L. M. w Rohatynie. Nr. 8 należy do bieżącego kwartału.

Wny. W. B. w Brzeżanach. Starosta Hołobucki jest powieścią trzy-tomową, a Pan nadesłał preenumeratę tylko na jeden kwartał. Prosilibyśmy o inny wybór.

SPROSTOWANIE.

Od p. Rudnickiej, autorki powieści „Marysia“ drukowanej w „Tygodniu“ otrzymujemy następujące sprostowanie:

W Nr. 49 w powieści „Marysia“ opuszczonych jest kilkanaście wierszy, przez co zmieniony jest sens powieści i bohaterka przedstawiona w fałszywem świetle. Po słowach: „w rozżaleniu w jakiem byłem, bałem się sam siebie“ opuszczono co następuje:

— „Ale jam mu powiedziała jakie nieszczęście stało się u mnie, i po co przyszłam do niego.

— Wracaj Marysiu do męża — zawołał — a ja za pół godziny będę tam z doktorem.

Ale co to już doktor pomoże gdy Pan Bóg komu życia nie sądził. Jeździł do niego przez dziesięć dni, co dnia co innego zapisywał, ratował i nic nie pomogło, jedynastego umarł! Podźwigał się kamieniem jak sam powiedział, i doktor mówił, że ratunku nie ma, i on zaraz wiedział, że żyć nie będzie. Na drugi dzień choroby kazał Fedia zawołać do siebie i powiedział mu:

— *Nie chodź ze wsi aż się pokaże co się ze mną stanie*, i Fedio nie poszedł“.

Treść Nr. 14.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.